

Biblioteka  
U. M. K.  
Toruń

284352

WĘDRÓWKI  
PO SWIECIE ZWIERZĘCYM

PRZEZ

**A. B. Reichenbacha.**

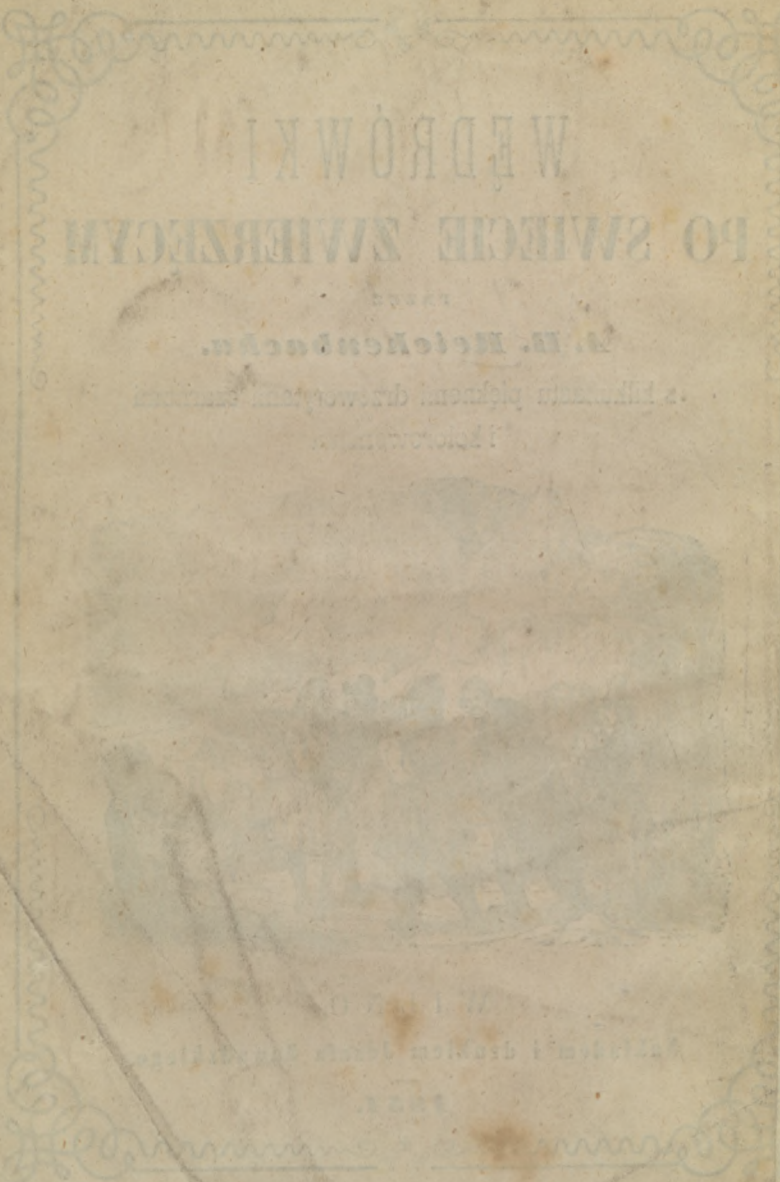
z kilkunastu pięknymi drzeworytami czarnymi  
i kolorowanymi.



W I L N O.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1854.



WĘDRÓWKI  
PO ŚWIECIE ZWIĘRZĘCYM.

„W światów utworze—

„Ich stwórcę poznawaj,

„I w ducha pokorze

„Twórcy cześć oddawaj.”



# WĘDRÓWKI PO ŚWIECIE ZWIĘRZĘCYM

PRZEZ

A. B. Reichenbacha.

PRZEKŁAD Z NIEMIECKIEGO

F. M.

z kilkunastu pięknymi drzeworytami czarnymi  
i kolorowanymi

podług oryginalnych rysunków J. Kirchhoffa.



WILNO.

Nakładem i Drukiem Józefa Zawadzkiego.

1854.



WĘDRÓWKI

PO ŚWIECIE ŚWIERSKIM

Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury, prawem oznaczonej liczby exemplarzy. Wilno, 3 Października, 1852 roku.

Cenzor PAWEŁ KUKOLNIK.

284359  
BIBLIOTEKA  
UNIWEERSYTECKA  
w Toruniu

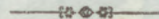
K. 2154/57

W MIASTECZKU Weissenburg, odległym o mil parę od wielkiego stołecznego i handlowego miasta, mieszkał od dosyć dawnego czasu Radca dworu Majnau, zarówno uczony jak i prawy, a przeto powszechnie szanowany człowiek. Zebrawszy sobie przez pilność i uczciwą oszczędność, jakotóż zbiegiem przyjaznych okoliczności znaczny majątek, usunął się ze stolicy i przeniósł się do owego miasteczka, aby tam bez przeszkody, wspólnie z żoną, poświęcić się wychowaniu swych dzieci i ulubionemu swemu przedmiotowi— Historji Naturalnej. Wziął on

na siebie wyłącznie wykładanie nauk potrzebnych swym dziatkom Wilhelmowi, Karolowi, Auguście i Emmie; nie ograniczył wszakże wychowania ich tém tylko, że dziatkom codziennie jakikolwiek przedmiot wykładał, lecz nadto korzystał jeszcze z każdej okoliczności, gdy im mógł coś użytecznego powiedzieć, i szczególniej wrazać w młode ich serca: naukę mądrości, cnoty i moralności. Nie było przeto ani przechadzki, ani odwiedzin, ani wypadku, podczas których P. Majnau nie znalazł-by zręczności udzielenia im stosownej nauki. Przedewszystkiém zaś starał się zwracać ich uwagę na wszystkie osobliwości w przyrodzeniu, na niezliczone wdzięki natury i umiał do tego zawsze użyteczną naukę zastosować. I dziatki słuchały go zawsze pilnie; a oko ich błyskało radością, bo opowiadanie ojca było i jasne i zajmujące.

Przypatrzcie się ze mną, kochani moi czytelnicy, tej szanownej rodzinie w jednej z ich nauczających przechadzek, którą P. Majnau po-

święcił mianowicie rozważaniu niektórych zagranicznych zwierząt; a pewnie, że polubicie tak samego tego zacnego męża — jak i dobre dziatki jego.



Podczas pięknego letniego wieczora siedział Pan Majnau z rodziną swoją w ogrodzie przytykającym do domu, i właśnie rozpoczął był bardzo nauczyjące opowiadanie, gdy nagle dał się słyszeć huk bębnowy i wrzaskliwy dźwięk piszczałki; wszyscy więc porwali się z miejsc swoich, bo takie dźwięki były rzadką nowością w Weisenburgu. Karol wyszedł z ogrodu wykrzykując radością: «Wielki huk! Ale wkrótce powróci znowu z takimże pospachem wołając: ojcze! matka! dzieci! bierzcie no co najprędzej; na ulicy jest wielki nie-  
Wzrost. Gł. 1.



dźwiedź taki jak w moim elementarzu, a z nim i drugie ogromne, obrzydliwe zwierze, a także i małpy; chodźcież więc, chodźcie, popatrzcie. Na to wezwanie Karola poleciał jak wicher dwunastoletni August, obie zaś dziewczynki przytuliły się do rodziców, a mała Emma spytała trwożliwie: Ale mammo kochana! mamuniu! czy te zwierzęta nie zrobią nam nic złego? I wtenczas dopiero, gdy ojciec upewnił je, iż nie mają się czego obawiać, wyszły śmiało ale zawsze z ostrożnością i trzymając się rodziców.

Na otwartem miejscu przed ogrodem, zebrało się mnóstwo ludzi, a pośród nich niewątpliwie wszystkie dzieci z miasteczka. Gdy P. Majnau pokazał się, wszyscy rozstąpili się przed tą zacną rodziną, kłaniając się z uszanowaniem P. Rady dworu i jego szanownej małżonce; a wtedy i dzieci uczuły się w możności przypatrzenia się dokładnie tym stworom. Wielki stary niedźwiedź, wielbłąd, dwie małpy i kilka psów składały całą menażeryę. Niedźwiedź z ryjowatym pyskiem, z długimi kudłami, z ogromnemi łapami uzbrojonymi w straszliwe pazury, których wierzchołki wszakże zdawały się być zerznięte, miał pozór dziki i obrzydliwy, zwłaszcza

dla Emmy, która z bojaźnią przytuliła się do matki. Mniej dziki, wszakże brzydszy jeszcze pozór był ogromnego wielbłąda z długą szyją, z rozplataną wierzchnią wargą, z garbem porośłym kudłami, z niezgrabnemi stwardniałemi nogami, na których z przodu znajdują się małe kopyta. U obu tych zwierząt na grzbietach siedziały małpy, co było powodem radośnych okrzyków gawiedzi, na widok figlów, które bezkarnie płatały te komiczne stworzenia na grzbiecie ponurego niedźwiedzia i olbrzymiego wielbłąda. Małpeczki postrojone w błękitne spodeńki i pasowe kurteczki bogato oszywane złotemi galonami, na głowie miały stosowane kapelusiki, co je czyniło niewypowiedzianie śmiesznymi. Pyski ich marszczkowane, cieliste, podobne były do twarzy starego człowieka, z tą tylko różnicą, że pyski więcej wystawały. Pomarszczone te twarze były w ciągłym ruchu, a miny ich bywały częstokroć tak zabawne, że wszyscy głośno się śmieli. Szczególniej, gdy kto podroczył \*) małpy, wtedy-to wyrabiały one szkaradne grymasy, wytrzeszczały zęby, a gardła ich wyda-

\*) Podrażnił.



wały przeraźliwe krzyki. To ich srożenie się pobudzało bardziej do śmiechu, i biędne stworzenia, dręczono tém więcej, im więcej one okazywały swój gniew bezsilny.

Wszakże byli i tacy, którzy litowali się nad dręczonemi zwierzętami. P. Majnau był pierwszy, który zgromił swawolników za to drażnienie się. Wilhelm, syn jego pobiegł znowu do ogrodu, przyniósł kilka soczystych moreli i podał małpeczkom po jednej; te porwały owoc łapkami i jadły go z takim upodobaniem, że miło było patrzeć. Chciało się im téż i pestki rożgryźć, ale je im odebrał P. Majnau, mówiąc: «to mogą być gorzkie ziarnka, które mają w sobie kwas pruski: najjadliwszą trucizną dla zwierząt ciepło-krwistych. Przynies raczój trochę orzechów Wilhelmie! które one mogą jeść bez żadnego niebezpieczeństwa.» Wilhelm nie czekał powtórzenia rozkazu, pobiegł co tchu, i w kilka minut wrócił z orzechami. Toż-to nowa nastąpiła radość, gdy małpy gryzły orzechy, rzucając łuski na ciżbę, a same spożywając smaczne ziarnka.

Gdy już orzechów nie stało, rozpoczęły swoją zwyczajną zabawę, a mianowicie: wybierały z kuddłów swoich wierzchowców, (bo za nich służył im

niedźwiedź i wielbłąd) owady i robactwo, pożywając je z niemniejszym apetytem; co było powodem głośnych śmiechów zebranego tłumu. Emma wszakże, kurcząc nosek, nie pojmowała tego obrzydliwego apetytu; pan Majnau przeto wyłożył jej, że małpy mają w ogólności coś podobnego w swojej naturze, i że nie tylko jedzą rośliny, ale pożerając i robactwo, znajdują w tém dla siebie szczególną jakąś rozrywkę. Tym sposobem uwalniają się one razem od brzydkiego robactwa, które wkrótce takby się rozmnożyło, że nie mogłyby tego wytrzymać. I tu więc musimy podziwiać mądrość Stwórcy, który dał małpom pociąg do tego robactwa, przez który mogą uniknąć tak okropnej męczarni.

Gdy się już wszyscy dobrze przypatrzyli małpom, zagrzmiały bęben i piszczałka na nowo, i rozpoczęły się nowe uciechy. Niedźwiedź z kagańcem na pysku, kierowany łańcuchem ujętym ręką niedźwiedznika, podniósł się na tylnych łapach i rozpoczął taniec wprawdzie nie arcy-zręczny; lecz za to im był niezgrabniejszy, tém więcej wywoływał śmiechu, zwłaszcza gdy małpa usiadła mu na głowie i tam dziwaczne stroiła grymasy. I psy też

teraz wystąpiły: jeden w roli pajaca (śmiészka), wystrojony jak arlekin, drugi we fraku galonowanym, a trzeci jako Pani Pompadur w jedwabnej sukni i z kapeluszem przystrojonym w pióra. Wszystkie trzy stanęły podobnie na tylnych nogach i tańczyły z taką swobodą i gracją, iż okropnie zawstydziły starego ociężałego niedźwiedzia, a Augusta i Emma nie mogły się dość wydziwić wysmukłej damie Pompadur, którą przedstawiał przesłiczny pudel.

Po skończonych tańcach wystąpiły małpy ze swemi sztukami. Kawalerzyście jeżdżącemu na niedźwiedziu, staremu czupiradłu z porosłym do koła pyskiem, a przez to samo mającemu nadzwyczaj rycerską postawę, dano w ręce szpadę, ładownicę i strzelbę malutką. Stała więc natychmiast na tylnych łapkach, wzięła broń na ramie, prezentowała ją, potem zaczęła nabijać i dała ognia. Poczém odebrano jój strzelbę, a ona ująwszy natomiast szpadę, rąbała nią dokoła siebie; następnie wkładała ją do pochwy, co jój jednak nie bardzo się udawało. Na zamknięcie popisu swego skłoniła się widzom, zdejmując po trzykroć kapelusz; co też przyjęto z głośnemi oklaskami. Teraz przyszła kolej na drugiego jeźdźca; wystąpił on w roli skrzypaka. Niedźwie-

dnik podał mu małą skrzypeczkę, na której on wygrywał jak drugi Paganini, chociaż może i nie zupełnie tak, bo mała Emma utrzymywała, że to było niemilosierne piłowanie. Gdy wreszcie i wielki wirtuoza zakończył swą muzykę wdzięcznym ukłonem, zeskoczył żołnierz ze swego wierzchowca, wziął do rąk talérzyk i skakał z nim od widza do widza prosząc o dar pieniężny. Łatwo dorozumieć się można, że takiego kwestarza nikt bez datku nie odpuścił. Po zebraniu pieniędzy, rozległ się na nowo bęben i piszczałka, i cała menażerya, przeprowadzana przez dzieci, wyszła za bramę miasteczka; dzieci tylko P. Majnau wołały za nią zdaleka: bądź zdrów kudłaty tańcerzu, bądźcie nam zdrowi panie Paganini i pani Pompadur:



**K**IEDY rodzina Majnau znowu do altany wróciła, powstała żywa rozmowa o scenie, która się świeżo odbyła. Jedno dziecię przypominało to, drugie owo, i złąd mnóstwo rodziło się pytań. Gdy się już dzieci nagadały, rzekł ojciec: od dawna już miałem zamiar zaprowadzić was do wielkiego zwierzyńca w naszej stolicy; dziś, widok tych zwierząt przywiódł mi na pamięć to postanowienie; jutro więc pojedziemy do stolicy. Okrzyk radości rozległ się na te słowa, bo od lat kilku dzieci nie były w stolicy, a o zwierzyńcu słyszały już tyle, iż dawno do tego widoku wzdychały. «Korzystajmy wszakże z dzisiejszego wieczora,» mówił dalej P. Majnau; właśnie opowiem wam o tych zwierzętach, które wam sprawiły tyle przyjemności.

Niedźwiedzie cechują się tępym, ryjowatym pyskiem, niezgrabnym cielskiem, kudłatym futrem i krótkim ogonem, a równie i tępym: że stąpają całą podeszwą i na pięciu palcach mają silne pazury. Należą one do zwierząt drapieżnych i wspólnie z niemi mają trzy gatunki zębów, jako to: w górze i na dole po sześć przednich zębów, obok tych z obu stron mają po wielkim spiczastym kątowym zębie, a po nim jeszcze w górze po sześć a w dole po siedem szczękowych zębów. Z tych ostatnich—trzy pierwsze małe, zwane przedziałowemi; po nich następuje wielki kieł, a naostatek jeszcze po dwa w górze, a trzy w dole średniej wielkości, trzonowe, z tępymi garbami, tak, że za pomocą tych zębów niedźwiedzie mogą mléć i rośliny. Jest prawie dwańście gatunków niedźwiedzi, które po części na wyniosłości gór Europejskich, azyatyckich i amerykańskich, po części zaś na lodowatych górach i śnieżnych polach głębokiej północy przemieszkują. Niedźwiedź zwyczajny, którego exemplarz tylko co widzieliśmy w tańcu, żyje wyłącznie w północnych stronach Europy, Azji i Ameryki, dawniej znajdował się on i w Niemczech, wszakże od czasu przetrzebienia lasów i odtąd, gdy na to wyteżono całą

usilność, aby tak niebezpieczne i drapieżne zwierzęta wyniszczyć, nie macie się co lękać spotkania się w lesie z kudłaczem czasu przechadzek, chyba to był podobny tancmistrz na łańcuchu, prowadzony przez niedźwiednika. Przodkowie nasi nie lubiący prawie innych zatrudnień jak wojenne i łowieckie, mieli zwyczaj w chwilach, gdy ani wojować ani polować nie mogli, po całych dniach rokoszować się na niedźwiedziach skórach.

«I ztąd to musiało wejść w przysłowie,» przerwała Augusta, to zelżywe wyrażenie: «gnuśny legart,» którym oznaczają leniwego człowieka.

Masz słusność, moje dzieci! cieszę się bardzo, że żadne z was nie dało mi jeszcze powodu użycia do was tego wyrażenia, rzekł ojciec i ciągnął dalej opowiadanie swoje w ten sposób.

Wszakże nie tak to jeszcze bardzo dawno, jak niedźwiedzie były i w Niemczech— jak np. w Saksonii i Turyngii. W ostatniej z tych krain zabito jeszcze niedźwiedzia w r. 1806, a w całym ówczesnym Elektorstwie Saskim, od 1611 do 1653 r. zabito ich jeszcze 203 sztuki. Jeszcze i teraz znajdują się pospolite niedźwiedzie w Szwecyi i Norwegii; w Polsce, Prusiech i Rossyi, jako też nie rzad-

ko na górach Karpackich, na Alpach od strony Karyntii, w Tyrolu, Sabaudii, Walizii i w górach Pirenejskich. Najulubieńszem jego siedliskiem są ciemne bory w bliskości bagien, rozpadlin skalnych i jaskiń. Żywi się on po części roślinami, a częścią zwierzętami, na które napada; w lecie karmi się jagodami i korzeniami, i w tej to porze mniej bywa dziki jak w jesieni. Wielu z nich pożera też i ściérwo. Młode niedźwiedzie żywią się po większej części korzonkami, jagodami, zbożem, winogronami, owocami i miodem. W jesieni niedźwiedź zazwyczaj jest bardzo tłusty, lecz zaledwo ku zimie pierwsze śniegi spadną, to udaje się do jaskini lub nory, którą, bądź pomiędzy rozpękłemi skałami, bądź pod korzeniami drzew wielkich, bądź też na urwisku góry albo pagórka dla siebie upatrzył i przygotował, i kładzie się do niej zwinięty w kłębek; nie przeto, iżby miał spać przez całą zimę, jak to utrzymują, lecz tylko, że nic nie je.

*Wilhelm.* A czy to prawda, że niedźwiedź żywi się wówczas własną tłustością, którą ma niby z łap swoich wysysać?

*Ojciec.* Niezaprzeczenie mniemano tak niegdyś, a to ztąd poszło, że niedźwiedzie często liżą swe

łapy; wszakże jest to tylko skutkiem ich nałogu, który daje się widzieć w każdej porze roku; co szczególniej czynią na wiosnę, gdyż właśnie w tej porze łapy ich zrzucają z siebie starą skórę. Wszakże powiedzieć można, że one rzeczywiście żywią się swoją tłustością, tylko że czynią to w taki sposób jak i inne zwierzęta i ludzie. Tłustość jest właściwie ich jakby spiżarnią, i gdy ciała zbywa na żywności, wówczas naczynia ssące, które się znajdują we wnętrzościach tego stworzenia, wciągają w siebie tę tłustość i przeprowadzają ją do naczyń mlecznych i krwionośnych. Że zaś niedźwiedź w jesieni bardzo jest tłusty, to i może w taki sposób przepędzić zimę; lecz za to na wiosnę wychodzi ze swój pieczary zupełnie wycieńczony i straszliwie głodny. Pierwszym jego pożywieniem są natenczas mrówki znajdujące się w ogromnej ilości po lasach jodłowych; je on wówczas całe ich kupy, przeżuwa suche gałązki jodły i t. p.

Niedźwiedź ma w przednich łapach ogromną siłę. Może on dobrze chodzić na tylnych, potyka się stając na nich ze swym nieprzyjacielem; pomimo swój niezgrabnej postawy, dosyć szybki, pływa dobrze, włazi na drzewa, młody, bardzo zręcznie; na

dół zaś spuszcza się tyłem, a że to mu przychodzi z trudnością, więc raczej zwija się w kłębek, chwając głowę pomiędzy przednie łapy, i tak rzuca się na dół. Ma on wreszcie, zwłaszcza w nosie, delikatne czucie, a równie widzi i słyszy dobrze. Głos jego jest to stłumione, ponure mruczenie. W powszechności nie napada na człowieka, gdy nie jest głodny lub rozdrażniony; niekiedy od niego nawet ucieka. Lecz biada temu kto go do wściekłości rozjątrzy i nieszczęściem dostanie się w jego łapy. Stawając na tylne łapy, chwytą biedaka przednimi, zapuszcza w ciała jego straszliwe swoje pazury i tak okropnie kalęczy, że zaledwie w nieszczęśliwej tej istocie postać człowieka rozpoznać można. Samka wydaje na świat, zazwyczaj w Styczniu lub Lutym, dwoje młodych, które pielęgnuje z niewypowiedzianą miłością, prowadząc je wszędzie z sobą. U młodych, zazwyczaj włos wełnisty, a dopiero u starych włos ten nabiera kosmacizny. Kolor sierści u starych niedźwiedzi jest zazwyczaj brunatny, zdarzają się wszakże czarne, szare, żółtawe i białe lub czarno-stokate. U młodych często-kroć na szyi bywa biała obwódka. Miłość macierzyńską wszczepił i w drapieżne

zwierzęta wszechmądry Stworzyciel świata, bo bez tego uczucia, biedne ich młode wkrótceby zniedo-  
 łężniały, a przeto i zwierzęta te w ogólności mu-  
 siałyby wyginać. Im mniej płodu przychodzi na  
 świat; tém większą dla nich czuje miłość macie-  
 rzyńską ich matka; jawnie się to daje widzieć w nie-  
 dźwiedzi, która nie tylko że z całą starannością  
 pielęgnuje swoje niezgrabne dzieci, lecz téż i ze  
 wściekłością broni je od napadu nieprzyjaciela. I tak  
 np. zdarzyło się raz w Polsce, że strzelec znalazł-  
 szy w legowisku dwoje młodych niedźwiedziąt, za-  
 brał je z sobą. Że szczenięta te były jeszcze ślepe,  
 łatwo przeto mógł je przenieść do domu. Wszak-  
 że niedźwiedzica zwietrzyła ślady strzelca i z zaja-  
 dłością puściła się za nim w pogoń. On strzelił do  
 niej, ale ją tylko lekko ranił. Ta, nieustraszona,  
 idzie wprost na niego, i wówczas, gdy ten broń  
 nabijał, schwyciła go łapami, chcąc go udusić w po-  
 tężnych swoich uściskach. Wszakże i ten, nieustra-  
 szony, nie tracąc czasu, zręcznie wy dobył nóż z za-  
 cholewy i rozpruł nim wnętrzności rozwścieklonemu  
 zwierzęciu; czém jedynie ocalił sobie życie.

Nad wychowaniem młodych, czuwają zwierzęta  
 częstokroć gromadnie; zdarza się wszakże, że mat-

ka powierza starszym dzieciom bacznosc na młód-  
 sze. Właśnie tak jest i z niedźwiedziami: Zazwy-  
 czaj wydaje niedźwiedzica samczyka i samiczkę, któ-  
 re w ciągu lata wszędzie za sobą wodzi; w jesieni  
 zaś puszcza już od siebie młodą samkę, a zatrzy-  
 muje przy sobie tylko samczyka, którego przezna-  
 czeniem jest w roku następnym czuwać przy no-  
 wonarodzonych jej dzieciach. Odtąd samczyk mu-  
 si za nią wciąż chodzić, wszystkie drobne posługi  
 sprawować, dzieci przeprowadzać przez ruczaje i  
 bagna, a nawet przez trudniejsze do przebycia miej-  
 sca przenosić; szukać dla nich pokarmu i im go  
 podawać. Jeżeli swego obowiązku gorliwie nie speł-  
 nia, to matka go karze. Rzecz ta wiadoma jest  
 w powszechności w tych miejscach, gdzie niedźwie-  
 dzie trzymają się gromadnie. W Rossyi i Syberii  
 taki jednoroczny samczyk znany jest pod nazwą pia-  
 stuna.

Dzieci rozśmiały się głośno, słysząc o takiej  
 niańce; oświadczyły wszakże wszystkie razem, że  
 gdyby potrzebowały jeszcze piastunki, takiej jednak  
 nigdyby mieć nie chciały.  
*Ojciec.* Jakem wam już piérwój powiedział: nie-  
 dźwiedz jest to bardzo niebezpieczne zwierzę, czy-

niące nie tylko dużo szkody zwierzyńie po lasach, stadom bydła, jakoteż lesnym pszczołom i winogronom; ale nawet i człowieka o trwogę przyprawia. Tak więc dla tych przyczyn, a bardziej jeszcze z powodu jego futra i smacznego mięsa, wszędzie nań czyhają. Szynka niedźwiedzia w Rosyji, Laplandyi, Szwajcaryi i gdziekolwiek to zwierze zamieszkuje, jest dosyć zwyczajnym pokarmem; wędzone zaś łapy, język i głowa, zwłaszcza młodych niedźwiedzi, uważają się za delikatny przysmaczek.

*Augusta.* Ja sobie takich przysmaczków nie życzę, chociażby one miały być najwyborniejsze, bo by mi się ciągle zdawało, że niedźwiedź, którego jem mięso, może na krótką chwilę przed swoją śmiercią, zamordował i pożarł człowieka.

*Ojciec.* Nie tylko ty tak czujesz, lube dziecię moje! Już wielu podróżnych postradało apetyt, gdy się od gospodarza swego dowiedzieli, że niedźwiedź, którym właśnie teraz posilali się, w wigilię ich przybycia, rozdarł człowieka; wszakże ludzie żyjący w krajach, gdzie niedźwiedzie nie są osobliwością, nie myślą o tém; ba owszem cieszą się, że zabili poczwarę, i jedząc jej mięso z uczuciem dumy, tém się chlubią; a nawet jedzą mięso niedźwiedzie z pe-

wnym rodzajem zemsty; przez co wszakże, jak łatwo to pojąć możecie; sami stają się podobnemi do drapieżnych zwierząt. Ale zwróćmy-no się jeszcze uwagą, na coby téż nam niedźwiedź jeszcze mógł być użytecznym. Słuszną jest rzeczą, wspomnieć tu także, że tłuszcz jego nie tylko jest wyborną i miłą, lecz téż że się używa jako oliwa i lekarstwo. Skóry niedźwiedzie należą do najwyborniejszych futer krajów północnych; służą one za materace, używają się na płaszcze, szuby, kołdry na nogi i na siodła. Karolu, ty jako zwolennik żołnierki, powiedz nam, co się jeszcze z tych skór robi?

„Bermyce \*), bermyce Grenadyerskie!” odpowiedział Karol po krótkim namyśle:

A ojciec ciągnął rzecz dalej: Kozacy robią z kieszek niedźwiedzych szyby do swoich okien; a że ludzie zarabiają pieniądze, wyuczając niedźwiedzi i chodząc z niemi po świecie, toście tylko co widzieli. Owoż te są powody usiłowań ludzkich, aby niedźwiedzi łapać na swoją korzyść.

*Emma.* Ale jakże człowiek może pokonać tak wielkie i silne zwierzę?

\*) Czapki ze skóry niedźwiedziej.

*Ojciec.* Siła jego nie nie dokaze przeciw kuli, strzale lub włóczni—przeszywających go na wylot. Wszakże jest jeszcze i wiele innych sposobów do pokonywania niedźwiedzi, z których wam zaraz kilka opowiem. Do uczenia łowią młodych, bo staro trudno już, a nawet nie podobna czegokolwiek nauczyć. Pojmane młode, są i pojętne i nadzwyczaj się prędko dają ugłaskać. Ależ otóż powiem wam o sposobach jakich używają różne narody, aby niedźwiedzia dostać w moc swoją.

W ziemi Siedmiogrodzkiej strzelec Wołoski obwija sobie ramię i całą lewą rękę płachtami do takiej grubości, aby zęby i pazury niedźwiedzia, dosięgnąć ciała nie mogły. Z kordelasem w drugim ręku spotyka sam jeden niedźwiedzia, który staje na tylnych łapach dla schwycenia w swoje objęcia i uduszenia Wołocha; ale ten, ostróżnie uchyla się, trzymając jednak zawsze okutaną rękę przeciw nieprzyjacielowi; niedźwiedź usiłuje go chwycić, a skoro go ujmie: zręczny Wołoch zatapia mu w brzuch kordelas lub nóż, wypuszcza tym sposobem z niego wnętrzości i niedźwiedź pada trupem na ziemię. Często też Wołoch, korzystając z chwili: gdy niedźwiedź paszczę roztwiera, aby go schwycić za

rękę; wpędza mu w gardło kordelas, i zabija go do razu; chociaż zaprzeczyć nie można, że ów sposób—szalenie hazardowny. Żeby się wszakże zabezpieczyć od straszliwych uściśnień niedźwiedzia, doradza sobie Wołoch, przybierając się w szeroki pas pokrywający żołądek, a razem utrzymujący tarczę osłaniającą pierś jego; w tarczy tej osadzony jest długi, ostry dziuryt, który, w chwili, gdy niedźwiedź ujmuje już myśliwca i tuli go w swoje objęcia, w tymże momencie przeszywa mu piersi, tak, że niedźwiedź, ofiarę swoją puszczać, sam wali się pod jego nogi, i w okamgnieniu staje się zdobyczą swego przeciwnika. Zarówno i innych narodów myśliwi, mężnie potykają się z niedźwiedziami. I tak np. Kamezadał, w chwili ataku niedźwiedzia, wbija mu w otwartą paszczę zaostrzone żelazo. Młody Illiryjczyk zwabia niedźwiedzia do drzewa, na które łatwo się dostać; ukrywa się za pniem jego, i puszcza kamieniem w łeb niedźwiedziowi. Mruczając rzuca się niedźwiedź w tę stronę, z kąd kamień wyleciał, albo też porywa kamień, aby nim cisnąć na przeciwnika; ale że zręczny młodzieniec już wlaźł na drzewo, niedźwiedź więc także na nie się wdzięra; lecz zaledwo podsuwa się



do myśliwca, ten mu wbija w paszczę kordelas albo odrąbuje mu łapy, tak, iż niedźwiedź spaść musi i staje się zdobyczą odważnego myśliwca. Urządzają też samostrzały na niedźwiedzia, a to w taki sposób: do słupów przytwierdzają się trzy strzelby nabite ostrymi ładunkami, a pomiędzy niemi kładzie się jakakolwiek przynęta. Do strzelb zaś zastosowano drót tak: iż zaledwie niedźwiedź dotknie przynęty, te wszystkie skierowane ku niemu, jednocześnie wypalają; i niemasz prawie wątpliwości, że jeśli nie wszystkie trzy strzały razem, to przynajmniej dwa z nich lub jeden ugodzą w niedźwiedzia.

*Augusta.* Ale czyż takie strzały nie są niebezpieczne i dla ludzi?

*Ojciec.* Tak jest, a to jeszcze tém więcej, że tak urządzone strzelby ukryte są pod mchem i t. p. rzeczami; łatwo więc może i człowiek, niepostrzeżenie dotknąć się do drótu i upaść pod strzałami. I dla tego to, ze wszęch stron, u wnijscia do lasu, dają się znaki ostrzegające. Kamezadałowie upatrzywszy drożynę, którą niedźwiedź przechodzi, kładą na niej deskę nabitą mnóstwem ostrych goździ żelaznych w kształcie haczka używanego do wędki, i pokrywają ją zlekką ziemią. Jak tylko niezgrab-

ne niedźwiedzisko stąpi na tę deskę, wnet zaczepia się jedną nogą o goździe; to go o złość przyprawia, a chcąc się uwolnić, zaczyna gniewnie dalszemi łapami tłuc po niej, i tym sposobem zastręga nakoniec wszystkiemi czterema łapami na hakach, i nie mogąc ruszyć się z miejsca, pada niezwłocznie od ręki nań czatującej. Nakoniec do charakterystyki niedźwiedzia dodajmy i to jeszcze, że to wielki łasownik, bardzo podobny do naszej Emmy.

*Emma.* O nie porównywaj mię tylko kochany ojcze ze starym kudłaczem, a przyrzekam ci najszczerzej, że ci nigdy do tego już nie dam powodu.

*Ojciec.* Z duszy się cieszyć będę, gdy mi dotrzymasz słowa; bo wierz mi moja miła, że łakliwość jest brzydką wadą, która wielu już nabiła nieszczęścia. Nie raz za nią płaci i młody niedźwiadek; że nadzwyczajnie miód lubi, wyszukuje przeto w wypruchniałych pniach drzewa zapasów złożonych przez pszczoły; a że z łatwością wdzięra się na drzewo, włazi więc na najwyższe, gdy tylko w dziuple dostrzeże siedlisko pszczół; z czego korzystają w Polsce i Rossyi. I tak: zawieszają ciężką kłodę, nabitą wielkiemi goździami, na bliżkiej dziupła gałęzi, ale zawieszają ją tuż u

wydrażenia w drzewie; jak tylko więc niedźwiedź podłże do niego, zaraz odbija łapą kłodę, aby mógł swobodnie wsadzić mordę do gniazda; pchnięciem rozkołysana kłoda wraca na swoje miejsce, a niedźwiedź jeszcze ją silniej odpycha. Im gwałtowniej ją potrafił, tém silniej ta ugadza go w łeb w tej właśnie chwili, gdy pysk już wsadza do barci. Głupi niedźwiedź zapala się z tego powodu najstraszliwszym gniewem, i ciska kłodą z taką zajądłością, iż ta wracając, tak go okropnie uderza, że ogłuszony, spada na ziemię. Ale myśliwcy zawczasu już powbijali w nią pale, na które spadający niedźwiedź na wskrós się przebija.

Szczerze śmiały się dzieci z tego rodzaju łowów, dopóki nie usłyszały o ostrych palach powbijanych w ziemię pod drzewem; bo ostatni ten sposób uznali już za okropne męczeństwo dla biednych zwierząt.

*Ojciec.* Oto jeszcze sposoby łowów na niedźwiedzia: nagina się gałąź aż do gniazda pszczoł, w którym lekko przytwierdza się kawałkiem łyka, po uprzedniem zawieszeniu deski na czterech sznurach w kształcie wahającej się szali. Gdy niedźwiedź wlezie na drzewo, postrzega deskę, a znajdując ją

dogodną, siada na niej, ale ciężarem swoim zrywa łyko, którym nachylona gałąź była przywiązana, a ta wyrwawszy się, wraca do swojej zwyczajnej pozycji, unosząc na swém wierchołku szalę, na której był usadowił się niedźwiedź. Biedny kudłacz radby już rzucić się z drzewa, tém bardziej, że strzały sypią się na niego; w końcu téż nic mu nie pozostaje, jak zwinawszy się w kłębek, rzucić się na ziemię. Nie ma wątpliwości, że on już zginiony, bo pod drzewem ziemia podobnie najeżona ostrymi palami, na które spadając, przebija się. Ale i żywcem łowią niedźwiedzi: stawiając dla nich miód z wódką. Gdy się takiego miodu najedzą, odurzają się, zasypiają, a więc łatwo dają się ująć lub zamordować. W Syberii, w okolicach rzeki Leny, myśliwi przy upatrzonych ścieżkach niedźwiedzia, nastawiają sidła na wzgórzach, przytwierdzając do tych sideł liny z ogromną kłodą; poważnie idący niedźwiedź wpada głową i szyją w te sidła, zaciąga petlę i postrzega z gniewem, że go ciężka kłoda zatrzymuje; włazi więc rozjuszony na wzgórze, porywa wściekle kłodę przedniemi łapami i ciska nią z góry. Rzecz naturalna, że ciężka kłoda ciągnie go za sobą. Jeżeli te wywracane koziołki

z kłoda niewiele mu uszkodziły, to znowu włązi na górę i dopóty w pociesznej swojej głupocie powtórza rzucanie kłody na dół, dopóki nieborak całkiem się nie zgruchoce. Osobliwsze te sposoby łowów, których opis jak widzę po uśmiechu waszym, bawi was bardzo, znajdziecie prawie we wszystkich opisach o niedźwiedziu i niewątpliwie, że w nich musi być wiele prawdy; nie sądźcie wszakże, aby podobnych środków często używano, gdyż te nie zawsze są skuteczne, zwłaszcza co do sposobu ujęcia niedźwiedzia; i nowsi wojażerowie nie wspominają o tych sposobach łowów. Ale, dzieci, gdyśmy już poznali zwyczajnego lądowego niedźwiedzia, nieodrzućcie będzie poznać was z niedźwiedziem lodowatym, którego właśnie w zwierzyńcu zobaczycie w naturze. Tymczasem poprzestańcie na tym rysunku, który wam pokażę, dla rozróżnienia tém dokładniejszego obu gatunków; bo rysunek ten przedstawia obu zarazem t. j. lądowego i lodowatego. Korpus ci szyja lodowatego niedźwiedzia są podługowatsze, głowa ciensza, czoło płaskie, uszy krótsze, podszwy dłuższe i szersze, prawie zupełnie kudłami pokryte; sierść biała wpadająca trochę w żółtawą, a goły wierzchołek nosa, język,



J. K. D.

L. A. Schindler sculpsit.

obwódki oczu, krańce warg i ogromne pazury, są czarniawe. Długość niedźwiedzia lodowatego jest od siedmiu do dziewięciu stóp, wszakże znajdują go niekiedy i na dziesięć stóp spełna.

Na północnych krańcach ziemi za 80 stopniem, gdzie już niema żadnego innego lądowego zwierzęcia; najczęściej na europejskim morzu lodowatém pomiędzy zatoką Hudson, Grenlandyą i Szpicbergiem, mieszka to straszne drapieżne zwierze; wszelako często na krach przybywa do Islandii, Norwegii i Kamczatki, nabawiając wszystkich przestachu.

Żywność jego składa się szczególnie z ryb, psów i koni morskich, nieżywych wielorybów i delfinów. Jak tylko postrzeże psa morskiego, wchodzi spokojnie do wody i płynie stroną przeciwną tój z kąd wiatr pociąga; ztamtąd, nurzając się często, zbliża się do celu swego i tak się układa, że z ostatniem ponurzeniem się już jest na tém miejscu, gdzie właśnie leży pies morski. Gdy wszelako biędne to stworzenie starając się uciec od swego prześladowcy, spuszcza się do wody, wtedy właśnie wpada w pazury niedźwiedzia; jeżeli zaś zostaje na miejscu, to przeciwnik jego daje szalonego susa, zabija go na lodzie i pożera z największą spokojnością,

nie lękając się napadu na tych samotnych lodowatych polach. Niedźwiedź biały jest niezaprzeczenie jednym z najdzikszych i najbardziej krwiożerczych zwierząt swojego rodzaju, zwłaszcza gdy jest zgłodniały lub w jaki bądź sposób rozdrażniony; a tém więcej lękać się go potrzeba, że w pazurach ma tak olbrzymią siłę, iż ściany z dosyć grubych dylów, jednym uderzeniem na wskrós przebija, jakem sam to raz widział w pewnej menażeryi. O ile przed tą poczwarą trzeba się mieć na baczności na brzegach lodowatego morza, poznamy to łatwo ze zdarzenia, które się przytrafiło w roku 1596, a które wam dla tego jedynie opowiem, abyście z niego poznali uciążliwość i niebezpieczeństwa, których doświadczają podróżujący w bliskości północnego bieguna.

W owym to roku płynęły do bieguna północnego dwa Holenderskie okręta pod dowództwem Barenca i Jana Korneliusza Rypa; statki te wszakże później rozłączyły się. Barenc, po uciążliwej podróży, przybył nareszcie do przylądka Cejlanu, ale tu góry lodu nagromadziły się w takim mnóstwie, że śmieli żeglarze nasi ujrzeni się zmuszonymi do odwrotu, którego wszakże wykonać już niepodobna

było z powodu, że lód nagromadzony, dokoła ich otoczył, a w końcu i okręta zupełnie nim opasane, całkowicie wmarzły. Nic im przeto nie zostawało, jak tylko przezimować na lodach. Na szczęście, okręta zakrzepły nieopodal od lądu; kilku więc ludzi wyszedłszy ze statków, udali się dla wypróbowania lądu, i wkrótce wrócili z tą pocieszną wiadomością, że znaleźli źródło słodkiej wody, jakoteż znaczną ilość drzew pięknych— z dość jeszcze świeżemi korzeniami, wyłożonych na brzegu. Okoliczność ta ożywiła na nowo męstwo rybaków. Wstąpiła w nich szczęśliwa wiara, że Opatrzność czuwając nad nimi, dała im to, co im nieodbitie potrzebném było do przezimowania pod tą niegostinną strefą. Natychmiast więc zrobili sanie. Trzech ludzi piłowało drzewo, a dziesięciu nosiło je na miejsce wybrane pod chatę, którą zbudować zamierzali. Chcąc dla bezpieczeństwa usypać wał z ziemi, umyślili długim szeregiem rozłożonych ognisk odtajać ziemię; ale wszystko to było daremne. Jedyna więc nadzieja ocalenia życia zostawała w zbudowaniu sobie chatki; gorliwie też zajęli się tą pracą. Ale na nieszczęście, podczas tej pracy, nastąpiło tak okropne zimno, że je zaledwo przenieść byli w sta-

nie; bo gdy robotnik goźdz żelazny ujął w usta, to ten w momencie do nich przymarzał, a gdy go odjąć potrzeba było, to skórę z ust z sobą oddzielał; a śnieg często przez kilka dni wciąż spadał gęstymi płachtami; trzebaż jeszcze do tego nieustannej walki z lodowatemi niedźwiedziami. Pewnego dnia dojrzał Kapitan z okrętu, że trzy sztuki razem tych drapieżnych zwierząt pędzą wprost na robotników; natychmiast więc ostrzegł o tém ostatnich pewnym znakiem, w skutek którego, strwożeni ludzie puścili się do okrętu; w ucieczce tej jeden z ludzi zapadł między kry i kolledzy już go mieli za straconego; ale niedźwiedzie nie postrzegły tego i śpieszyły w pogon za majtkami po pagórkach lodów najeżonych— aż do samego okrętu. Prześladowani biegali dokoła swojego statku i z tyłu wlaźszy do niego spuścili się na dół; prześladowcy zaś ich wdarli się z przodu na okręt i z początku zajadle nacierali na swych wrogów. Jeszcze podówczas muszkiety zapalano lontami; posłano więc jednego na dół do kuchni dla zapalenia lontu; ale posłaniec tak się strwożył i zgłupiał, że nawet tak prostej rzeczy zrobić nie mógł; muszkiety więc na nic się nie przydały, a ludność okrętowa odpięrała tymczasem napaść jedynie ciska-

niem na niedźwiedzi tego, co tylko pod ręce spadało. Tym sposobem odwracali na chwilę uwagę rozwścieklonych zwierząt, wszakże niebawem nacieraly one z bardziej jeszcze rozjątrzoną zajadłością. Nakoniec, gdy niebezpieczeństwo zdawało się już dochodzić do ostatecznego stopnia, któryś z majtków cisnął w największego niedźwiedzia halabardą (obosieczną siekię z włócznią pośrodku) i ranił go w paszczę tak dalece, iż niedźwiedź uciekł, a w ślad za nim poszli i towarzysze jego.— W tejże podróży do jednej z wysp na drodze do Wajgacz, gdy zarzuciono kotwicę; dwaj majtkowie wyszli na ląd i przechadzali się po brzegu; gdy jeden z nich uczuł się mocno objętym. Sądząc, że którykolwiek z jego towarzyszy żartem go straszy, zawołał w takiż żartobliwy sposób: kto tam? proszę cię, przestań! Ale rzeczywisty kollega jego, obejrzawszy się, krzyknął: niedźwiedź! niedźwiedź! poleciał do okrętu i wołał przeraźliwym głosem na ludność pozostałą na okręcie. Uzbrowieni w dzidy i muszkiety majtkowie puścili się ku owemu miejscu, gdzie nieszczęśliwy ich kollega pozostał. A niedźwiedź widząc zbliżających się, opuścił najspokojniej poszarpane ciało nieszczęśliwego, skoczył na jednego majtka, porwał go z so-

bą, i zatapiając kły w ciało jego, począł duszkiem krew jego chleptać. Scena ta, tak przeraziła całą osadę, że zwróciwszy się, na łeb na szyję uciekała do okrętu.

*Wilhelm.* O tchórze! I oni się nie pomścili za swego nieszczęśliwego towarzysza?

*Ojciec.* Uczuli to za powrotem na okręt i spojłali na siebie wzajemnie, przejęci wstydem. Skutkiem tego: trzej z nich wyprawili się na nowo, z postanowieniem pomszczenia się za swych towarzyszy i odzyskania ich trupów, aby je porządnie pogrześć; poszli więc i strzelali z początku z takiej odległości, że żaden z nich nie trafił swojego wroga. Lecz wnet wystąpił śmiało płatnik okrętowy na czele swych towarzyszy, i wzięwszy starannie na cel poczwagę, wpędził kulę w czaszkę jej pod samym okiem. Niedźwiedź tymczasem podniósł głowę i trzymając w paszczy ofiarę, którą pożerał, posunął się na swoich napastników; lecz ci postrzegłszy, że ten już chwiać się zaczyna, rzucili się na niego z pałaszem i bagnetem i dobili go do reszty. Zebrawszy potem rozszarpane członki swych towarzyszy, pogrzebli je z przyzwoitością.

*Emma.* Ach jakże to okropna historia. Rada-

bym jednak wiedzieć, czego ci ludzie szukali na lodzie, gdzie co chwila obawiać się należy, żeby ta straszna bestya nie zapuściła ci pazurów do grzbietu.

*Ojciec.* Przedsiębiorą oni tę podróż częścią w celu łowienia wielorybów, koni i psów morskich, za które otrzymują znaczne summy; poczęści zaś w celu naukowych badań dla użytku i nauki ludzi. A gdy pierwszych zagrzewa myśl o wielkich ztąd wynikających pieniężnych korzyściach, to drudzy także po krzepiają się tém słodkiem przekonaniem, że poświęcają się na wielkie uciążliwości i okropne niebezpieczeństwa dla moralnej korzyści swych bliźnich. Co się tyczy lodowatego niedźwiedzia, to zdobycie go nie jest także rzeczą małej wagi, gdyż z tłustości jego otrzymuje się tran wysmienity, a skóra daje wyborne futro. Mieszkańcy północy jedzą téż i mięso jego; żeglarze wszakże nie smakują w niem, a nawet często, spożywszy je, a zwłaszcza wątrobę, podlegają chorobie.

Samica lodowatego niedźwiedzia mniejsza zazwyczaj o stopę od samca, wydaje na świat pospolicie po dwoje tylko młodych, strzegąc ich i pielęgnując najtroskliwiej. Zdarzyło się razu jednego, że majtkowie napotkawszy samicę z dwoma jej szcze-

niętami, zaczęli ją ścigać po lodowatych polach, a ta, nie mogąc swych dzieci ani własnym przykładem, ani oddzielnemi jakimiś tonami, ani ruchami do potrzebnej szybkości skłonić, chwytła je łapami i rzucała przed siebie na przemian, to jedno to drugie. W miarę tego jak matka podbiegła do nich, szczenięta jej rzucały się same przed nią, aby niemi dalej a dalej ciskała, i nakoniec udało się im w ten sposób uciec. Drugie znowu zdarzenie dowodzi jeszcze jaśniej jej miłości macierzyńskiej dla swego płodu. Fregata angielska Karkassa, wysłana dla odkryć w bliskości północnego bieguna, zamarzła. Ludność okrętowa urządziła właśnie na lądzie pieczeń z konia morskiego, chcąc wydobyć z niej tłustość; gdy w tém niedźwiedzica biała, i jej szczenięta, już ją prawie dochodzące wielkością, zwabione zapachem, przybiegły, rzuciły się na ogień i po ogromnym kawale mięsa z kotła wydobywając, z chciwością je pożerały. Gdy skończyły, ludzie z okrętu rzucali im kawały mięsa, które stara niedźwiedzica chwytła i młodym swym podawała, przestając sama na małych kawałkach. Gdy już ostatni kawał unosiła, majtkowie złożyli się do młodych, zabili oboje i ranili starą; chociaż strzał ten nie był

śmiertelny. Nie możecie sobie wyobrazić, kochane dziatki, jak boleśnie wyła biedna niedźwiedzica nad wyziwającemi ducha niedźwiedzietami swemi; nawet surowych majtków jęk jej poruszył. Zaledwo chwiałe się, nieszczęsne to stworzenie— przysunęło się do swych dzieci, rozszarpało na cząstki ów kawał mięsa i kładło je przed niemi; lecz widząc, że już jeść nie mogły, wyciągało łapy to do jednego to do drugiego, aby je na nogi postawić— wyjąc przytém w sposób rozdzięrający serce. A gdy wszystkie środki nieszczęsnej matki okazały się bezskuteczne: odwlekła się o kilka kroków, potem znowu wróciła i rany ich lizała. Nakoniec widząc, że już nie żyją, i że stężały, zwróciła głowę ku okrętowi burząc wściekle i z rozpaczą. Majtkowie odpowiedzieli jej na to świstem kul, i wkrótce też padła pomiędzy dziećmi swojemi— jeszcze liząc ich rany.

Z wielką uwagą słuchały dziatki opowiadań ojca i litowały się z duszy nad biedną niedźwiedzicą, o której tylko co mówił. Chciało się im coś jeszcze usłyszeć o wielbłądzie i małpach, ale ojciec postrzegł, że wieczór już przeszedł i że nadchodzi pora spoczynku; a w tém i matka przyszła oznajmując, że



czas już aby dzieci spać poszły. Dzieci wypraszały się jeszcze od łóżka i chciały trochę pozostać, ale im ojciec przypomniał, iż jutro bardzo rano wstać im potrzeba; a za to przyrzekł im, drogą wiele opowiadać o wielbłądach; przestały więc dzieci wypraszać się i pobiegły do domu z wesołym wykrzykiem. Słuchając o niedźwiedziach, wyszła im podróż jutrzejsza z pamięci, ale gdy ją im teraz ojciec przypomniał, rzucały się z radośnym okrzykiem w objęcia rodziców na przemian. Za przybyciem do pomieszczenia, dziatki czyniły jeszcze mnóstwo pytań:— czy daleko do stolicy? o której wyjadą? w co się ubiorą? czy dzikie zwierzęta swobodnie chodzą po zwierzyńcu? i t. d. i t. d. Wilhelm i Karol przygotowali swoje pugilaresiki dla wpisania do nich najważniejszych przygod, jakiego ich spotkać mogły. Augusta pobiegła do swych sukienek i długo wybierała, aż nakoniec matka przeznaczyła dla niej sama: zieloną, już trochę obnoszoną, mającą służyć do podróży, a drugą, nowiuteńką, różową sukienkę, którą miała Augusta nosić na sobie czasu przechadzek w stolicy. I mała Emma myślała o swoim ubiorze; wszakże i dla niej przeznaczyła już dobra matka stroik, który Emmę bardzo uradował.

Po uczynieniu przygotowania do podróży, dziatki ucałowały serdecznie ojca, a matka poprowadziła je do sypialni. Wszelako, chociaż i mamie oddały dobranoc, i pobożnie zmówiły paciorek, sen długo jeszcze nie zmykał ich oczek. Jedno drugiemu przypominało historię o niedźwiedziach; śmieli się z głupiego kosmacza wykradającego miód tak niezgrabnie, nachylali się ku małej Emmie, burząc jak niedźwiedź, albo wołając mu! mu! ot przychodzi stary kudłacz. Ale Emma nie była bojaźliwa i śmiała się głośno. Wspominali też i o podróży, aż matka zapukała do drzwi, dając znak żeby się uciszyły. Że dziatki znały go dobrze, uspokoiły się więc natychmiast; bo były to dobre posłuszne dzieci. Już prawie dziesiąta wybiła, gdy wreszcie usnęły.

«A cóż wy śpiochy! wstawajcie mi prędko!» rozległ się nazajutrz o godzinie czwartej zrana, głos dzieciom znany. «Dobry dzień ci, kochany ojciec! zawołały wszystkie prawie razem; my już nie śpiemy i oddawna czekamy na ciebie.» I rzeczywiście tak było: bo wesoła niespokojność nie dała im spać długo; na głos więc ojcowski wyskoczyły wszystkie z łóżeczek, i na wyścigi pobiegły do swoich sukienek, aby się odziać co prędej. Po odmówieniu pacierza, pobiegły się umyć, a potem pośpieszyły na śniadanie. Już wszystkie przygotowania do drogi były porobione: na stole stały skrzynki, pudełka, butelki i t. d. Powóz przy drzwiach czekał tylko zaprzężenia; potrzeba tylko było to wszystko spakować, i rozkazu ze strony ojca, aby zaprzę-

gano. Po śniadaniu, wszyscy zajęli się złożeniem rzeczy do powozu, co też w kilka minut i skutecznie się dało; bo każde dziecko cośkolwiek wyniosło; każde starało się jakimkolwiek sposobem być użytecznym. Gdy ojciec kazał zaprzęgać, rozległy się głośne okrzyki radości i jednym susem wszystkie czworo dzieci oparły się w pojeździe. Gdy Jan już zaprzęgnął i gdy do powozu wsiedli rodzice, wytoczył się powóz z dziedzińca, a twarze dzieci oblały się rumieńcem szczerzej radości.

Ponieważ okolica, przez którą z początku jechali, była im dostatecznie znana, a więc mało co uwagi godnego nastრęczająca, prosiły przeto niebawem ojca, aby dotrzymał obietnicy i opowiadał im o wielbłądzie. I ojciec też nie mając powodów wstrzymujących go od uiszczenia się z przyrzeczenia, rozpoczął opowiadanie w ten sposób: A więc chcecie słyszeć o tym lądowym okręcie; dobrze, uczynię za dość chęci waszej. Tu mała Emma przerwała mowę ojcu: «jako? wszak nie o okręcie, ale miałeś nam mówić o wielkim obrzydłym wielbłądzie, któregośmy wczoraj widzieli. Uśmiechnęły się na te słowa Emmy dalsze dzieci, wyjaśniając jej rzecz całą; gdyż wiedziały już, że wielbłąd przenośnie zo-

wie się okrętem pustyni, a to dla tego, że ogromne, okiem niezmierzone pustynie, na których widać piasek w różnych miejscach w kształcie falistych pagórków wiatrami zmieciony, podobne są do morza; a wielbłąd, który pielgrzyma z całym jego dobytkiem przewozi po tych pustyniach, słusznie z okrętem porównanym być może.



Rozróżniają, mówił ojciec dalej, dwa gatunki wielbłądów, a mianowicie: Dromadery i właściwe wielbłądy. Dromader czyli wielbłąd jedno-garbowy, ma wspólnie z dwu-garbowym cienką, długą szyję, którą może wyciągać lub skracać; krótkie uszy, roz-

dwojoną górną wargę, nagie otwardniałe miejsca na piersiach i nogach; małe kopyta na przodkowych członkach palców; pokrzywione dalsze członki palców, i stwardniałą podeszwę; wszakże niema dwóch garbów, jak tamten, na sklepionym grzbiecie swoim; jest trochę mniejszy, wysmuklejszy i słabszy; dla tego też mniej może dźwigać ciężarów, ale za to jest w stanie daleko szybciej biec, i przeto tém więcej używa się do posług wierzchowca jak do dźwigania juków. Ponieważ konie w Egipcie są rzadsze i mniej wytrzymałe niż dromadery, przeto i armia francuzka, znajdując się w Egipcie, cały korpus wojska swego wsadziła na wielbłądy; co stanowiło jej kawaleryę. I dziś nawet, jeśli się nie mylę, są korpusy w Algierze i Persyi na dromaderach, stanowiące kawaleryę; w Persyi urządzono nawet oddzielną artyleryę, przewożącą małe działa na grzbiecie wielbłądów, z których natychmiast, z obozowiska wielbłądów, strzały wypuszczają. Sądząno, że taka artylerya w okolicach górzystych może być bardzo użyteczną, lecz gdy działa nie powinny być ciężkie, a tém samém i wielkie, i że z nich nie zupełnie dogodnie celować, (co jednak więcej było winą niezręczności artylerzystów), prze-

konano się wkrótce o niestosowności takiej wielbłądziej artylerji. Naostatek, oba te gatunki wielbłądów to jest: jedno i dwu-garbowy, mające jednaki charakter, sposób życia i ojczyznę, są niezaprzeczenie wielkiej wartości dla człowieka. Pokrzywa, oset, liście drzew, wszystkie kolczaste, najsuchsze i najnędniesze rośliny, stanowią żywność tych zwierząt. W ogólności zwierzęta te dla tego już, że poprzestają na tak lichęj strawie, i że dni kilkanaście mogą żyć bez napoju: w owych skwarnych piaszczystych pustyniach są bez porównania ważniejszém dobrodziejstwem dla podróżujących, niż wszystkie inne zwierzęta używane do pociągu i dźwigania ciężarów. Oba gatunki tych wielbłądów znajdują się w Arabii i po całej drodze północnej Afryki, ciągnącej się wzdłuż od Egiptu do Maurytanii; a wszędy, od morza śródziemnego do rzeki Senegal. Wszakże spotykamy je w wielkiej ilości także w Egipcie, Abisynii, Persyi; w południowej Tartaryi i w niektórych częściach Indyi. We wszystkich tych stronach mieszkają one od niepamiętnych czasów, tak, iż z pewnością wykazać nie można, gdzie ich właściwa ojczyzna. Zaprowadzono wprawdzie i w Europie, a mianowicie pod Pizą— w San Rossora wiel-

błądzie stada, wszelako, chociaż te zwierzęta znacznie się tam rozplodziły, nie dają się jednak rozprowadzić w owych stronach, i z każdym rokiem widocznie się co raz więcej wyradzają.

Wysokość dwugarbnego wielbłąda przy kłębie, t. j. z przodu od grzbietu, gdzie osadzony garb pierwszy, (bo drugi osadzony jest na krzyżu), wynosi siedem stóp; na szyi ma on długie kędzierzawe włosy ciemno-kasztanowatego koloru, które też i na przednich nogach widzieć się dają; a pod szyją zwiisa mu wielki łałok czyli podgarle. Reszta włosów jest koloru brunatnego, a włosy te są krótkie i gęsto najeżone. Zdarza się też włos i jasno-żółty albo-li też i biały. U dromadera, garb osadzony pośrodku grzbietu. Naznaczają trzy odmienne rodzaje wielbłądów: Rassa brunatnych czyli Kaukazkich ma być silniejsza, zwięzłej zbudowana i kolorem, jako też kształtem porostania włosów, podobna jest do dromaderów. Drugi gatunek zamieszkały w Afryce, z początku bywa prawie biały; wyrastając wszakże zmienia sierść na czerwoniawo-szarą, a głowę, garb, przednie nogi i szyję okrywa mu włos długi. Trzeci gatunek t. j. Egipski, ma 6 stóp wysokości i zupełnie pokryty jest szarym włosem. Wielbłąd wiel-

kiego gatunku, dźwigając ciężar od 1000 do 1200 funtów, może codziennie przebyć przestrzeń 10-ciu godzin; rodzaj zaś małych, na równinach, może zrobić na dzień do 30 godzin drogi, ale nie może tyle dźwigać na sobie; wszakże wielbłądy obu tych gatunków mogą przez dni dziesięć żywić się tylko zielskiem pustyni, które, przechodząc, spożywają. Po dłuższej jednak podróży potrzebują silniejszego pokarmu, jak np. jęczmienia, bobu, daktyłów i t. p. Dromader nie może tak długo głodu wytrzymywać.

Wielbłąd należy do zwierząt przeżuwających t. j. do takich, u których pokarm po przebyciu przez czas jakiś w żołądku, wraca znowu do pyska dla powtórnego przeżucia. I dla tego-to właśnie żołądek ich składa się z czterech części, które uważają za cztery oddzielne żołądki. Pierwsza z tych próżni zowie się żwacz czyli torba; jest ona delikatną kosmaczną ociągnięta i najprzód przyjmuje grubo-przeżuty pokarm. Po wprowadzeniu go do tej torby, zwierze kładnie się, a pokarm zwolna przechodzi z niej do drugiej próżni zwaną czepcem, a która wyniosłymi fałdami komórkowato pokratkowana, nad pierwszą próżnią ku tyłowi i w górę rozciąga się. Gdy pokarm dostanie się do czepca, to

skręcając się w gałki, w tym kształcie przez gardziel przeciska się do pyska, który go znowu przeżuwa; następnie pokarm tak przeżuty, wchodzi przez poboczny kanał pokarmowy do żołądka zwanego księgą; z tamąd nakoniec pokarm dostaje się do trawienca t. j. czwartego żołądka zwierząt przeżuwających, który go ostatecznie trawi. Niezupełnie wszakże takie same urządzenie żołądka widzimy u wielbłądów, bo w drugiej próżni zwaną czepcem, i w obok leżących częściach żwacza znajdują się liczne wielkie i głębokie komórki, otoczone muszkularnymi włóknami, w których zbiera się woda. Gdy więc te muszkularne włókna czyli żyłki ściagną się, wtenczas wydziela się pokarm z tych wodnych kryjówek, a powolnym otwieraniem się komórek wciśka się woda, dla pomieszania się przez cząstkowe małe ale ciągle wchodzenie, z pokarmem mającym się przetrawić. Tym przeto sposobem, wielbłądy mogą zachowywać w owych komórkach drugiego żołądka, bardzo wielką ilość czystej wody, do których ta, podczas gdy wielbłąd pije, wchodzi bezpośrednio z ust, nie łącząc się zupełnie z pokarmem; a z których znowu rozlewa się po komórkach żwacza, gdy te już są przepelnione. W skutek tak

dziwnego urządzenia żołądka, wielbłąd jest w stanie, wytrzymać trzy lub cztery dni bez napoju; a nawet wielbłądy najlepszego gatunku mogą przetrwać pragnienie przez dni dziesięć do dwónastu; wszakże wiele z nich ginie przy tak długim niedostatku wody. Wniosek prosty, że wielbłąd pije przy zdarzonej zrzęcnosci bardzo wiele, bo na raz wciąga w siebie wody 50, 60 a nawet 100 funtów. Dla tak ogromnej ilości wody, którą wielbłąd w siebie wciąga, i dla tak cudownej budowy żołądka jego, utrzymującego ją w sobie przez czas tak długi, stają się te tak użyteczne zwierzęta, żywym rezerwoarem (miejszem przechowywania wody) dla podróżujących w pustyni; bo gdy już woda służąca ludziom za napój, pomimo bardzo oszczędnej jej używania, zupełnie wyczerpie się, wtedy podróżni zabijają jednego ze swych wielbłądów, i znajdują w żołądku jego, chociaż nie zupełnie świeżą, ale wespół skwarnych upałów, zawsze jeszcze ożywającą i czystą wodę, która gasi pragnienie na czas jakiś.

W tych tylko miejscach pustyni, gdzie idzie wielka droga uczęszczana przez karawany, t. j. liczne towarzystwa podróżujących, pokopano wiel-

kie rezerwoary; te zaś które znajdują się w okolicach zamieszkałych, zaopatrują się wodą bądź za pomocą wodociągów, bądź też spływającą w nie wodą dęszczową. Beduini i inne koczujące rozbojnicze plemiona, osadzają czasami te studnie i wyciskają u podróżnych za pozwolenie nabrania wody, znaczny haracz w pieniądzech, żywności albo towarach. Na całej tej przestrzeni, gdzie takie studnie napełniają się wodą za pomocą wodociągów, pragnienie nie dokuczy podróżującym; lecz jak skoro wkroczą do właściwej pustyni, woda staje się już bardzo rzadkim artykułem. Zwyczajne studnie częstokroć wysychają, podróżni więc muszą ciągnąć dalej w nadziei znalezienia innej, z którejby i wielbłądy napoić i naczynia wodą napełnić mogli. I ztąd to nieodbita potrzeba, aby karawany w podróży miały z sobą zawsze znaczny zapas wody. Częstokroć wielbłądy nic więcej na sobie nie niosą jak tylko same naczynia z wodą; częściej wszakże bywa tak, że każdy wielbłąd, oprócz zwyczajnego juku, niesie na sobie jeszcze skórzany wór z wodą. Nie możecie mieć pojęcia, kochane dziatki, jak wiele wody potrzeba w podróży po tych pustyniach, tak dla napojenia wielbłądów, jak do

gotowania strawy i mycia, a szczególnie do pokrzepienia znużonych wędrowców, których podniebienie od nieustannych skwarów wciąż wysycha, których pokarm składający się z mącznych potraw i masła, przyczynia się do podniecania pragnienia, a którzy nadto, nie raz, może w dni kilka, skapą tylko jej cząstkę dostają. Potrzeba więc zmusza karawany, wody jak najoszczędniej używać; wielu przeto z kompanii przyuczają się do wstrzemięzliwości i nie piérwój piją, aż nim cała podróżna gromada w tym celu zastanowi się na kilka chwilek. Jeżeli kto domaga się wody nie w porze na to wyznaczonój, t. j. nie wtenczas, gdy wszyscy razem piją, to uważany jest za zniewieściałego, i takiego wyszydzą pospolicie przysłowiem: że gęba jego przywiązana do burdziuka. W takich tylko stronach, gdzie jest wody dostatkim, piją ją duszkiem. Burkhard, który podróżował po Nubii, mówi pod tym względem. „bez przesady powiedzieć mogę, iż po obiedzie, jednym ciągiem wypijałem tyle wody, ile się jej mieści w zwyczajnój karafce.” Naczynie średnój wielkości mieści w sobie od 50 do 60 funtów wody; jest to więc ilość wystarczająca na trzy dni dla jednego człowieka. Pod tym

samym względem mówi Kapitan Lion: w Afryce podróżując końmi, trzeba dla każdego wziąć po jednym wielbłądzie jedynie dla tego, aby ten ostatni niósł dla piérwszego dostateczną ilość wody. Ludzie tylko i konie odnoszą korzyść z męczarni wielbłądów, bo biédne to stworzenie, wtenczas tylko pragnienie swoje ugasić może, gdy w krainie tak skapo studniami zaopatrzonój, przypadkiem na jaką natrafi. Nadzwyczaj delikatne powonienie wielbłąda, daje mu sposobność zwietrzyć wodę z daleka, i ten to właśnie instynkt często ocala w pustyniach całą karawanę. Wyżej wspomniany wojażer Burkhardt opisuje nam w żywych kolorach następnny przykład:

W miesiącu sierpniu, opowiada on, przygotowała się mała karawana do ruszenia w drogę z Berbera. Berbera zaś jest to małe miasteczko portowe w Krainie Semaulis, leżące naprzeciw Arabskiego nadmorskiego miasta Adenu. W Berbera co-rocennie są wielkie jarmarki, na które zjeżdżają się ogromne karawany. Karawana, o którój tylko co wspomniałem, już miała zamiar opuścić to miasteczko; składała się zaś z pięciu kupców i z około trzydziestu niewolników, ze stosowną liczbą wiel-

blądów. Obawiając się sławnego bandyty, który tam wówczas nie mało dokazywał, i w okolicach studni Nediejm czatował na podróźnych, wiedząc przez szpiegów swoich o każdej wyruszającej karawanie z Berbery, owa z pięciu kupców złożona karawana, postanowiła puścić się drogą więcej na wschód, mimo studni Owarejk. Najęli oni przewodnika, który ich bezpiecznie doprowadził do pomienionej studni, ale od niej już, ku stronie północnej zbłądził; ponieważ to była droga rzadko uczęszczana.

Po pięciodniowej podróży wśród gór, wyczerpała się woda, i karawana nie wiedziała sama, gdzie się teraz znajduje; zbłąkani postanowili przeto skierować swą drogę ku zachodowi, spodziewając się tym sposobem dostać się do Nilu. Gdy już dwa dni ani kropli wody do zwilżenia ust nie mieli, umarło piętnastu niewolników i jeden kupiec. Drugi kupiec, wiodący z sobą dziesięć wielbłądów, będąc tego przekonania, że wielbłądy wiedzą lepiej niżeli ich panowie, gdzie można dostać wody; prosił swych towarzyszy, aby go dobrze przywiązali do jego najmocniejszego wielbłąda, żeby z niego w osłabieniu nie spadł; poczem rozłączył się z nimi, puszczając samopas swoje wielbłądy; wszelako ani

o nim ani o wielbłądach jego żadnej już nie powzięto wiadomości, i pewnie, że i kupiec i jego wielbłądy w pustyni zginęli. Ósmego dnia po wyruszeniu ich z Owarejk, ci, co swych towarzyszy przeżyli, postrzegli góry Zigryjskie, które z łatwością poznali; wszakże z ostatecznie wycięzonymi siłami, nie podobna było ani ludziom ani zwierzętom ciągnąć się dalej; położywszy się przeto pod skałą, wysłali dwóch sług z trzema jeszcze im pozostałymi najsilniejszymi wielbłądami dla wyszukania wody; nim ci jednak do gór zdążyć byli w stanie, spadł jeden sługa z wielbłąda, pozbawiony mowy, zaledwie mogąc znakami dać do zrozumienia kolędzie, aby go zostawił losowi. Drugi więc sam jeden pociągnął dalej; ale pragnienie tak go osłabiło, iż wzrok mu się zamglił, i że zjechał z drogi, chociaż ją uprzednio sam obrał i znał ją doskonale. Przez długi czas błądząc, zlazł wreszcie i pod cieniem drzewa przywiązał wielbłąda do gałęzi; lecz zwierze to zwąchało (jak arabowie wyrażają się) wodę, i jakkolwiek znurzone, oderwało się i popędziło najbystrzszym czwałem do źródła odległego od tego miejsca, (jak się to później pokazało), tylko na pół godziny. Jeździec wiedząc przyczynę pośpiechu



wielbłąda, próbował iść śladami jego; ale zaledwo powlókł się kilka kroków, upadł na ziemię ostatecznie wycięczony i miał już ducha wyzionąć, gdy Opatrzność skierowała w tę stronę jakiegoś Beduina z sąsiedniego obozu, który na wpół umarłemu prysnąwszy kilka kropel wody na twarz, tém go do przytomności przywrócił. Po chwili pośpieszyli oba, o ile im siły pozwalały, śladami zwierzęcia, i nakoniec postrzegli je pokrzepiające się u ożywnego źródła; napełnili naczynia wodą i wrócili do karawany, gdzie, szczęściem znaleźli jeszcze przy życiu biednych swych towarzyszy, których udało się im wybawić od męczeńskiej śmierci. Takim to sposobem, chociaż tylko dla reszty karawany, szczęśliwie rozwiązał się ten smutny wypadek.

Właściciele wielbłądów, zwłaszcza Arabowie przywiązują się do tych zwierząt tak dalece, że się powazyć nie mogą na zabicie ich w razie najgwałtowniejszej potrzeby. Przywiązanie to jednak pochodzi więcej z obawy utraty samego wielbłąda, jakoteż i z powodu szkód, które ponosić muszą przez śmierć jego. Szkody te bowiem są jawne: bo cały ładunek niesiony przez wielbłąda, już zginąć musi;

niepodobna bowiem rozdzielać go na inne wielbłądy wtenczas, gdy im własny ich ciężar, o ile możności, umniejszać potrzeba. Wiedzą téż oni i to, że po kilkudniowej podróży, w której wielbłądy nie piły, woda w żołądku tak się zmniejszyła, że z niej na każdego człowieka przypadłoby po bardzo małej części, a dla dalszych wielbłądów nicby nie zostało. Inaczej rzecz ma się z wielkimi karawanami, bo te zazwyczaj biorą z sobą znaczną ilość zapasnych wielbłądów, które téż łatwiej poświęcić. Sądziłoby należało, że człowiek blizki męczeńskiej śmierci na pustyni, łatwo chwyci się ostatecznego środka—ratowania sobie życia przez odjęcie go wielbłądowi; wszakże chciwość przemaga częstokroć i potłumia każdy inny głos serca ludzkiego; i dopóki mu choć mdły promyk nadziei zostaje, nie rad chwycić się tego jedyngo, zbawiennego środka, jeżeli on połączony jest z jakąkolwiek stratą. Chciwość i skępstwo, już same przez się, są to szkaradne namiętności; ale tém ohydniejszemi są one wtenczas, gdy w chwilach stanowczych, w których śmierć widocznie zagraża nędznikowi, ten, ani dla ocalenia własnego życia, ani dla poratowania bliznich, namiętności tych wyrzecz się nie chce.— Ale pomińmy rzecz

tę, a wróćmy się do uwag nad wielbłądem, który jest w zupełnej sprzeczności z temi ludźmi.

Wielbłąd więc sposobny jest nie tylko zbyt małym obchodzić się, ogromne ciężary dźwigać, podróżnych przez pustynie przenosić; lecz oprócz tego ma on inne, wielkie zalety. Bo nadto, przenosi największe trudy z małym uszczerbkiem swego ciała; nos sobie zamyka, aby mu piasek powiewny do niego nie wciskał się, gdy go wicher po pustyni rozdyma; nogi zaś tak są utworzone, że bez dolegliwości stąpa niemi tak po twardym jak i po każdym innym gruncie. Dromader idzie raźnie, dźwigając na sobie ciężar od 600—700 funtów; (wielbłąd z dwoma garbami i gatunek wielkich dromaderów niesie na sobie, jakem to już wam uprzednio powiedział, od 1,000 do 1,200 funtów), i, w przecięciu, uchodzi codziennie od 9 do 10 godzin drogi, a nawet i więcej; takie zaś wielbłądy, które prędzej iść muszą niosąc na sobie jeźdźca, nie tak są za to objuczone i przebywają drogę dwa razy większą. Cierpliwy w wykonywaniu swych obowiązków, wielbłąd przykłęka na rozkaz swego poganiacza, i z ciężarem swoim podnosi się rzeźwo i ochoczo. Podczas jednostajnego jego pochodu, nie

potrzeba na niego używać ani ostrogów ani bato-ga; lubi wszakże widocznie, tak jak i wiele innych zwierząt, dźwięki muzykalne; i dla tego też to poganiacz, gdy wielbłąd od trudów znurzeniu ulega, śpiewa mu piosnkę arabską, albo też każe grać muzyce, którą zazwyczaj na ten cel, mały ten korpus ma z sobą. Zwierze to wpadając w zachwycenie, rączym krokiem przebywa uciążliwą drogę aż do godziny wypoczynku, a gdy już nań staną, znowu przykłęka, aby mu na czas jakiś zdjęto ciężary; a gdy zapas żywności jeszcze się nie wyczerpał, to poganiacz, oprócz zwyczajnej żywności, daje mu jeszcze, jakby w nagrodę za trudy, kilka kawałków jęczmiennego chleba. Na szczególną uwagę zasługuje ciche, zupełnie słyszeć się nie dające stąpanie wielbłąda, a to z tej przyczyny, że nogi, jego okrywa skóra dostatecznie włosami porośla. Pomimo ogrom tego zwierzęcia, jakiejby nie był własności grunt t. j. piaszczysty lub skalisty: wielbłąd idzie ze swym ogromnym ciężarem, zaledwie o tyle słyszeć się dając, ile lekkonoga sarna, skacząca po mszystych trzęsawiskach; i gdyby nie miał dzwonka na szyi, nie podobna byłoby, pomimo najostrzejszego słuchu, rozpoznać stąpania jego. Oprócz

tego jeszcze, idą wielbłądy w największym porządku, wciąż jeden za drugim; nie zmieniając swego raz przeznaczonego sobie miejsca i wykonywają obowiązki swoje prawie bez rozkazu; a wypełniają je z taką scisłością, że prawdziwie miło patrzeć na to.

Przez łakomstwo, chciwość i ponury charakter, dopuszcza się czasami Arab pokrzywdzenia swoich wielbłądów; wszelako wyznać potrzeba, że to są rzadkie wypadki; bo zazwyczaj obchodzi się on z cierpliwem tém stworzeniem łagodnie i troskliwie; na co ono, dla swój użyteczności i łagodności, aż nadto zasługuje.

W Azii poprzedza zazwyczaj karawanę osieł z donośnym dzwonkiem na szyi, wszakże i każdy wielbłąd ma go także; tylko, że dzwonek u wielbłąda nie jest tak głośny. Tym sposobem zwierzęta te tak się oswajają z dźwiękiem tego dzwonka, że wszystkie razem zatrzymują się, gdy te dzwonki dla jakiegokolwiek zawady nie dzwonią. Z nałogu też i krok ich zawsze jest jednostajny, a nawet tak wymierzony i podobny do chodu zegarka, iż na równinie, nie myląc się ani o łokieć jeden, można o-

znaczyć przestrzeń, którą one w danym czasie przebędą.

Prócz wymienionych korzyści t. j. użycia tych zwierząt do przenoszenia ciężarów, do jazdy powozowej i konnej, są jeszcze i inne nie mniej ważne. Mięso ich jedzą z przyjemnością w wielu krajach, i piją mléko tych zwierząt, z którego też i mocną wódkę robią. Sierść, którą wielbłądy na wiosnę całkowicie zrzucają, używa się na grubą przędzę, materye, wołtuki i t. d. Suszony gnój wielbłądzi zastępuje miejsce opałowego drzewa; z sadzy zaś osiadającej na kominach przy wypaleniu gnoju, wydobywają salamoniak, który otrzymuje się także i z moczy. Z łóju robią dobre świece, a wyprawiona skóra jest bardzo mocna.

Ale kochane dziatki, otóż widać już i wieże miejskie; wkrótce więc staniem u naszego kresu; potrzeba wam zatem przygotować się do tego, co stanowi główny cel naszej podróży. Mamy oglądać zwierzyniec, ale teraz jeszcze prawie nie pojmujecie, co się rozumie przez zwierzyniec.

*Wilhelm.* Wszakżeś nam to już mówił, kochany ojcze, że zwierzyniec jest to ogród, w którym utrzymują się rozmaite zwierzęta.

*Ojciec.* Masz słuszność, mój synu; ale jakie zwierzęta utrzymują w takim ogrodzie, i na jaki to cel czynią: tego jeszcze dokładnie nie wiiesz. Posłuchajcie więc dziatki piérwój, co wam o tój rzeczy powiem. Nie wszyscy ludzie są tak szczęśliwi, aby mogli odbywać dalekie podróże i widzieć własném okiem bardzo zajmujące płody przyrodzenia, o których często, bądź czytają, bądź słyszą. Bo wten czas dopiéro możemy powziąć doskonałe wyobrażenie o zwierzętach, roślinach i ciałach kopalnych, gdy je na własne oczy zobaczymy. Opis, choćby był i najdoskonalszy, nigdy nam nie da tak dokładnego o tych rzeczach pojęcia. Chociaż rysunek czyli przedstawienie w obrazie opisywanego przedmiotu, przyczynia się do dokładnego zrozumienia opisu, (dla czego też czasu naszój nauki zawsze go wam pokazuję); przyznacie wszakże sami, że wówczas dopiéro poznaliście dokładnie małpę, niedźwiedzia i wielbłąda, gdyście je ujrżeli w naturze. Aby przeto ludzie mieli zręczność przypatrzenia się płodom przyrodzenia obcych nawet krajów, pozakładano więc—już to gabinety naturalne, już to menażerye, już to zwierzyńce, ogrody botaniczne i t. d. W gabinetach naturalnych można widzieć zwierzęta,

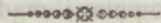
rośliny i ciała kopalne, zwane minerałami. Co do zwierząt ssących, ptaków, ziemnowodnych zwierząt i ryb, to widzieć się dają tylko ich skóry z włosem, piórami, łuską, lub tarczą; ale skóry te wypychają zgrzebiami lub sianem, i ustawiają je tak sztucznie, z wprawionémi szklannémi oczyma, że się zupełnie wydaje, jakbyśmy patrzyli na żywe zwierze; bo i rzeczywiście zwierzętom tym życia tylko nie staje. Inne znowu, nieżywe zwierzęta, powkładano do naczyń szklanych nalanych spirytusem, który ma tę własność, że nie dopuszcza gnić ciałom. Inne nakoniec, a mianowicie owady, pozasuszano, przebito szpilkami i do szafek o szklanych drzwiczkach przypinano. Rośliny spłaszczają, zaszuszają i układają pomiędzy arkusze papieru. Taki zbiór roślin nazywa się zielnikiem. Minerale naresztę, składają do małych skrzyneczek klejonych z papieru, i ustawiają je potym do wielkich szaf. Żeby zaś każdemu łatwo można było dowiedzieć się o ich nazwie i ojczyźnie, to nazwy te spisano na karteczkach, i ponaklejano tuż obok. Dalej: menażerye, są to zbiory żywych, rzadkich zwierząt, utrzymywane bądź przez rząd, bądź przez prywatnych bogatych ludzi, a nawet i przez takich ludzi, którzy z temi zwié-

rzędami jeżdżą po świecie, pokazując je za pieniądze, i ztąd zysk ciągnąc dla siebie. To ostatnie zebranie zwierząt nazywają menażeryą wędrowną, i w takiej to menażeryi, zwierzęta pozamykane są w obszernych klatkach, zaopatrzonych mocnymi żelaznymi kratami. Klatki te stoją na wielkich wozach, na których je przewożą z miejsca na miejsce; ustawiają po przybyciu w wielkich salach albo też w dużych, osobno na ten cel pobudowanych budach, i pokazują zwierzęta za pieniądze. Inne menażerye, znajdują się znowu zwyczajnie w ogromnych, wyłącznie na to urządzonych ogrodach, zwanych zwierzyńcami; a w których też zazwyczaj razem przechowują się rośliny— już to po cieplarniach, jeśli naszego klimatu znieść nie mogą, już to na otwartym powietrzu. Tę część ogrodu, a nawet i każdego innego, w którym się tylko pielęgnują takie rośliny, zowią ogrodem botanicznym, a to dla tego że nauka, dająca nam poznać rośliny, zowie się botaniką. Ale i w zwierzyńcach też utrzymują drapieżne zwierzęta w wielkich klatkach, gdy tymczasem inne, mniej dzikie, utrzymują się w miejscach z wierzchu otwartych, ale dokoła zamkniętych, zastosowanych do natury zwierząt; inne nakoniec, jak np. jelenie i sar-

ny, biegają zupełnie swobodnie po takich ogrodach. Dla ptaków okazalszych robią ptaszarnie, t. j. z krat drócianych składające się budowle, w których ptaki swobodnie latają; drapieżne tylko ptaki zamknięte są w klatkach, a przynajmniej w odgradzeniach dzielących je od niedrapieżnych. Nie podobna jest opisać wrażenia, jakiego doznaje człowiek w takich ogrodach i gabinetach naturalnych, na widok tylu roślin razem, rozsadzonych ręką przyrodzenia na tak ogromnej od siebie przestrzeni; albo na widok wszystkich tych cudów świata zwierzęcego i kopalnego. Tu to właśnie, jakby łączą się najprzeciwiejsze sobie strefy. Tu znajdujemy płody północnych krajów lodowatych, pomieszane z płodami żyjącymi tylko w gorącym klimacie. Tu dopiero dokładniej uczymy się poznawać, z jaką też to rozmaitością, jak cudownie i mądrze Bóg dobry stworzył te dzieła przyrody; jak właściwie nadał każdemu klimatowi odpowiednie płody, i jak wszędzie pamiętał o człowieku, którego nauczył, używać ich na swoją korzyść. Patrząc na niezliczone skarby płodów przyrodzenia, powinniśmy się przenikać najwyższą wdzięcznością ku temu ojcu pełnemu miłości, który człowieka postanowił— jakby panem tego wiel-

kiego świata. Tu oko i serce mimowolnie zachwyca się na widok rozmaitych kształtów zwierząt, roślin i ciał kopalnych, ich barwy, częstokroć pysznej i pięknej; na widok nakoniec tysiąca ich przymiotów i własności; a czego wszystkiego człowiek prawie nie pojmuje i przeczuć nie jest w stanie, dopóki ich sam nie ujrzy w przyrodzie. Nie wątpię, dzieci moje, że i wy doznacie podobnych uczuć, wszedłszy do ogrodu. Ale otoż już i brama miejska; widok jęj pokazuje nam żeśmy stanęli u kresu naszej małej podróży.

Nie mam potrzeby mówić wam, kochani czytelnicy moi, ile radości malowało się na twarzyczkach dzieci na to słowo ojca, i na widok bramy miejskiej.



**W**KILKA chwil potem, rodzina Majnau przebywszy bramę miasta, skierowała się ulicą wiodącą do jednego z najlepszych domów gościnnych, gdzie wskazano jęj przestronny pokój, w którym wygodnie przeodziać się mogła. Następnie podano śniadanie. Lecz, chociaż śniadanie składało się ze smacznych rzeczy, dzieci jednak nie wytrzymały długo u stołu, bo wolały pobiędz do okien, zkad widać było cały rynek. A gdy w tym-że czasie, straż wojskowa z muzyką, zamieniając uprzednią, zajmowała posterunek; gdy się pokazali grenadyery z wysokimi bermycami, prawie już niepodobna było oderwać dzieci od okien, bo na widok pysznych mundurów i za odgłosem prześlicznej muzyki, już niemal i o zwiźryncu zapomniwały. Wtedy to ojciec przypominając im,

po co przybyły do stolicy, zalecił, aby natychmiast zabrały się w drogę do zwierzyńca, gdyż to była najważniejsza pora, i opóźniać się nie można, jeżeli chcemy powrócić tu przed południem. Nadto, mówił dalej: pójdziemy przez rynek, a więc będziecie mogły jeszcze się dobrze przypatrzeć żołnierzom. Dzieci ani na chwilę nie sprzeciwiały się, bo chociaż piękna powierzchowność gwardyjskich żołnierzy na moment zajęła ich, więcej ich jednak obchodziło to wszystko cokolwiek ściągało się do zwierząt, roślin lub minerałów; za danym więc znakiem ruszyły natychmiast.

Prześlicznymi chodnikami, opasującymi miasto jakby rokosznym ogrodem, dostała się rodzina do wielkiego zwierzyńca, a razem i botanicznego ogrodu, mającego prawie pół mili obwodu. Mur wysoki i gruby, przedzielony w kilku miejscach starożytnymi wieżami, opasywał ogród. U wchodu do niego stały dwie także wieże; wchód zaś zamykano na noc podwójnymi żelaznymi wrotami. Wszedłszy przez bramę do ogrodu, dostało się towarzystwo nasze naprzód na most kamienny, bo ogród opasany był nie tylko murem, lecz nadto i dość głębokim rowem; całe to miejsce bowiem nigdy za-

jęte było pod okopy. Uderzyło to w oczy dzieciom, gdy postrzegły na moście mnóstwo ludzi stojących, którzy palcami wgląd' rowu pokazywali i czasami się śmieli; przysporzyły więc kroku, aby dowiedzieć się o przyczynie tego.

Ojcie! ojcie! zawołał Karol rzuciwszy w rów okiem; wszak to tu cała rodzina niedźwiedzia zebrała się.

I rzeczywiście też tak było, bo to był taras niedźwiedzi, po którym one harcowały swobodnie. Ponastawiano tam dużo pni i belek z poprzecznymi drągami; i nie mało też to nastęczało rozrywki, patrzeć na to — jak młode, niezgrabne niedźwiedki łąziły na nie, ale zaledwo do połowy wysokości pnia lub belki wdrapawszy się, spadały na ziemię, bo jeszcze nie miały wprawy. Najśmięszniejsze były zapasy młodych niedźwiedzi pomiędzy sobą, gdy się przewracały, i gdy ich potem matka, stare mrukliwe zwierze, za to często karała. Ludzie rzucali do tego dołu chleb i owoce, a niedźwiedzie spierały się o nie z sobą. Krótko mówiąc: aktorowie ci umieli tak dobrze zabawić publiczność, że wielu próżniaków codziennie godzinami na owym moście czas trawiać, im się przypatrywało.

Ze czas rodziny Majnau był ograniczony, nie mogła ona przeto przypatrywać się gonitwóm tych kosmatych sztukmistrzów; zwróciwszy się zatem z mostu na prawo, przybyła na wielką płaszczyznę z kanałem wody. Miejsce to otaczała ze wszech stron krata żelazna. W głębi stały kubły, w których wznosiły się pyszne palmy—mniej delikatnego rodzaju, jako też drzewa pomarańczowe okryte kwiatem, a miejscami cieniły się wzniosłe krzewy. Pośrodku dawało się widzieć wiele zabudowań w gęście wschodnio-Indyjskim; wszystko to oddzielała krata żelazna od głównego placu, a oddzielała w taki sposób: że z po-zanięj widzieć można było tło najpiękniejsze całego tego obrazu.

*Emma.* A cóż to za plac? zdaje mi się, że tu mieliśmy zobaczyć rzadkie zwierzęta, a tu nic nie widać prócz pięknych domków i roślin w głębi.

*Augusta.* Kwiatów tu nawet nie widać i tak to się wydaje, jakby tu wielkie zwierzęta lub zli ludzie wszystko powydeptywali i poniszczyli.

Ledwie Augusta tych słów domówiła, gdy razem ze wszech stron rozległ się krzyk podziwienia czy też przestachu; gdyż z owego wschodnio-indyjskiego domku wyszedł wolnym krokiem ogromny







słoń, pysznie wystrojony, w pasowej axamitnej kapie ze złotymi sznurami, kutasami i t. d. Człowiek w gustownym tureckim ubiorze, z czarną jak węgiel twarzą, siedział na nim.

*Wilhelm.* Ojcie, wszak to słoń; jakże to wyśmienicie, że go widzieć możemy. Ale cóż to za olbrzymie zwierze!

*Ojciec.* A jednak, kochany Wilhelmie, on może jeszcze być wyższy o całą stopę, bo słońie dochodzą wzrostem 14 stóp, a długości mają stóp 10.

*Emma.* A cóż to za człowiek co na nim siedzi? on taki czarny jak kominiarz!

*Ojciec.* To Kornak czyli dozorca słońia. Jest to Negier z Afryki i umie wybornie obchodzić się z tém olbrzymiém zwierzęciem, któremu posługiwał jeszcze we wschodnich Indyach, nim słoń ten dostał się do Europy.

Zaledwo ojciec skończył tę odpowiedź na pytanie małej Emmy, gdy dziatki nagle krzyknęły. Ojcie, ojcie, ratuj nas! Jakies tam zwierze idzie wprost na słońia i na nas; ale wkrótce same śmiać się zaczęły ze swego przestradchu.

*Karol.* O jakże to pzeszczelny malutki konik, a ja myślałem, że jakiś djabełek czarny rzuci się na

nas, gdy tymczasem to konik tak wesoło ku nam pędził. O! kup mi ojczy takiego malutkiego konika.

*Augusta.* Ale czy słoń nie zrobi co złego temu maleńkiemu stworzeniu?

*Ojciec.* Wszak widzisz sama, jak ten konik poufale tuli się do słonia.

*Emma.* Ach, słoń go chwyta trąbą; żeby go tylko nie skalęczył.

*Ojciec.* Nie lękaj się tego, bo to właśnie jest oznaką, że on go lubi; to sposób jego pieszczot, gdy kogo swą trąbą obejmuje. Jest to już w naturze słonia, że ciągle trąbą obejmuje, i czyni to bez najmniejszego uszkodzenia. Ten mały konik, co się wam tak bardzo podoba, zwany u Anglików Schetland-pony, jest to karzełek z wysp Schetlandzkich; odznacza się zaś nie tylko swoją drobnością, lecz też i wielką kosmacizną. Słoń ten wprost z Anglii dostał się do tutejszego zwierzyńca, a konik i tam już był jego nieodstępnym towarzyszem. Przez całą drogę szedł za nim krok w krok. Gdy konik zatrzymał się to i słoń stawał, a gdy go schowano, to słoń z miejsca nie chciał poruszyć się, bo tak się przywiązał do tego zwierzątko. Dziwna też to własność w ogólności najsilniejszych zwierząt, że wy-

bięrają sobie za ulubieńców najsłabsze zwierzątka, jakby przez to wyraźnie pokazać chciały, że się litują nad ich niemocą. Przypatrzcie się dzieci teraz dokładnie słońowi, a przedewszystkiem głowie i podwójnej, a potężnej broni t. j. trąbie i wielkim krzywym, ku końcowi spiczastym zębom.

*Wilhelm.* Ja wyobrażałem sobie, iż kły jego daleko większe być muszą.

*Ojciec.* I rzeczywiście one rozrosną się, bo to jeszcze słoń młody, a nawet jest to samica, która ma zazwyczaj mniejsze zęby, niżeli samiec. Oprócz tego— to słoń Azyatycki, u którego zawsze mniejsze zęby niżeli u Afrykańskiego. Toż samo jest i z uszami, bo uszy Afrykańskiego słonia, jak płachty spadają po za-szyję, u Azyatyckiego zaś prawie o półowę nie są tak długie. Pierwszy różni się od drugiego i tём jeszcze: że ma czoło wypukłe, gdy przeciwnie u Azyatyckiego widzieć się daje pośrodku wklęśłość.

*Karol.* Czyż słoń niema więcej zębów oprócz tych dwóch?

*Ojciec.* Nie, mój Karolu; oprócz tych ma on jeszcze w górze i w dole z każdej strony po dwa ogromne zęby trzonowe, służące mu do przeżuwa-

nia pokarmu; tych zaś ogromnych zwanych kłami, używa tylko na swą obronę. Zęby te od pnia samego aż do połowy są wewnątrz próżne, reszta zaś ich stanowi już zsiadłą kość słoniową; są one tak mocne, że niemi najgrubszą deskę przebić może na wylot. Trąba, ta druga broń słonia, jest niezaprzeczenie największą osobliwością tego zajmującego zwierzęcia. Nie tylko może on nią dzwigać bardzo ciężkie do dwóchset funtów wazące rzeczy i w górę je ciskać, lecz nadto jest w stanie robić nią bardzo wiele rzeczy tak jak człowiek ręką. Jest ona właśnie przedłużeniem nosa jego, ale tém się odznacza, że na zwierchnim krańcu ma skład palców, które bardzo dobrze pomagają do chwytania przedmiotów. Tym więc sposobem może on niemi węzły rozwiązywać i najdrobniejsze rzeczy podejmować z ziemi. Przez tę trąbę wciąga on ogromną ilość wody, którą może na daleką metę pryskać. Trąba służy mu także do wrywania z korzeniami drzew średniej wielkości i do odłamywania gałęzi, dla utworzenia sobie tym sposobem drogi po lasach. Gdy słoń przyłoży koniec trąby do deski lub do jakiegokolwiek innego ciała, i gdy jednocześnie wciągnie w siebie powietrze, to przyciągając tę deskę, może ją tym spo-

sobem podnieść w górę i podkurczając trąbę układa deskę lub jakikolwiek przedmiot w pierścień formujący się z tej trąby i niesie ją z sobą; palec pomaga mu tylko do trzymania albo do chwytania bardzo drobnych przedmiotów, które on jednak po największej części trzyma zgięciem trąby.

Dzieci nie mogły się napatrzeć na to zadziwiające narzędzie, widząc zwłaszcza, jak on gromadził dokoła siebie rozsypane siano, jak je składał w wiązki, i z rzadką zręcznością do paszczy je sobie pakował.

*Ojciec.* Widzicie dzieci jak użyteczną jest trąba dla tego zwierzęcia. Szyja jego za krótka, aby mógł głowę nachylić do ziemi i zrywać trawę, albo-téz w rzece ugasić pragnienie. Gdy więc chce jeść, spuszcza trąbę, zrywa nią trawę, układa ją w wiązki i niesie do paszczy. Tak więc trąba zastępuje mu miejsce ręki. Gdy czuje pragnienie, to zanurza koniec trąby do wody, napełnia nią całą próżnię tej trąby, potem ją skurcza wpuszczając sobie jej koniec do gardła i wpryskuje w nie wszystką wodę. Sztuki wciągania wody do trąby i pryskania na kogokolwiek używają słonie dla pomszczenia się w mniej dotkliwy sposób, niżeli to czynią, gdy są rozdraż-

nione. Krawiec jeden, który, jak to się często zdarza na wschodzie, rozłożył się z warstątem przed swoim domem, pozwalał sobie często, słońa przeprowadzanego codziennie mimo jego warstątu do kąpieli, kłóć w trąbę, która bardzo jest delikatna, a tэм samém drażliwa; ale za żart ten zapłacił nakoniec drogo, bo raz słoń wracając, gdy przechodził blisko krawca, prysnął mu w twarz z trąby taką ogromną massą wody, że krawiec zwałił się ze stołu niepojmując zupełnie, co się z nim stało.

Dzieci kładły się od śmiechu z tak osobliwój kari, ale razem podziwiały rostopność słońa, który nie mścił się natychmiast, lecz zwolna i jak się здаwało, rozważnie dokonywał swój zemsty.

Cós podobnego, mówił ojciec dalej, opowiadają i o pewnym malarzu, który chciał odmalować słońa z roztwartą paszczą i podniesioną trąbą. Dla utrzymania słońa w tėj pozycyi, służący malarza, rzucał zwierzęciu temu owoce do paszczy; częściej jednak udając gestem, że ma rzucić. Sprzykrzyło się to nakoniec słoniowi; jakby więc wiedział, że to wi-na malarza, który go chciał odmalować, pomścił się nie na słudze, ale na panu jego; bo wtenczas właśnie; gdy malarz zaczynał go znowu malować,

słoń bryznął mu z trąby na rysunek taką massą wody, że ten w niwecz się obrócił.

Nie zawsze jednak słoń bywa w dobrym humorze, częstokroć, letnią porą, samiec zwłaszcza wpada w okropną zajadłość; a rozdrażnione słońie tak są zażarte, że wszystko drózgoczą dokoła siebie; człowieka zaś, co ich rozdrażnił, waląc pod siebie i depcząc go ogromnemi niezgrabnemi swými nogami, tłuką na miazgę. Wszakże i w tэм rozwściekieniu dają się nagle ułagodzić, gdy im, z natury dobrym zwierzętóm, pokażą przedmiot przez nich ulubiony. Opowiadają właśnie na dowód tego następną tkliwą scenę: dozorca słońa, który nie dał mu tego, co mu obiecywał i tak się z nim obchodził jak ów sługa malarza, do takiego stopnia rozdrażnił to zazwyczaj łagodne stworzenie, że go trąbą chwyciło i cisnąwszy nieszczęśliwego o ziemię rozmiadziło go nogami. Żona dozorca patrząc na to okropne zdarzenie, wpadła w rozpacz i schwyciwszy dwoje swych dzietek, rzuciła je rozwścieklonemu zwierzęciu pod nogi z krzykiem boleści: „zabiłeś mi męża, zabijże i mnie z dziećmi mojemi.” To podziałało piorunem na słońa; złagodził się i jakby żałując swego czynu, objął trąbą więk-

sze dziecko, podniósł je sobie na szyję, jakby przez to chciał dać do zrozumienia: bądź odtąd moim dozorcą. I w istocie od tego momentu nie pozwolił nikomu wleźć na grzbiet swój, jeno temu chłopczykowi, który odtąd stał się jego kornakiem.

W ogólności powiedzieć można, że słoń jest jednym z najrozumniejszych zwierząt, i często nawet przechodzi psa w roztropności. Wyczytać to daje się z jego rozumnych i dowcipnych oczu, w których zarazem maluje się jakaś nadzwyczajna łagodność. Przypatrzcie się dzieci, jak przyjaźnie spogląda ten słoń na czarnego swego kornaka; z jakim upodobaniem ulega woli jego, i jak się stara wyczytać ją z jego oczu. To pewna, że szlachetne te zwierzęta okazują częstokroć tak wielkie przywiązanie, miłość i wdzięczność: że chorują albo zdychają po stracie swego dozorca. Z łatwością dają się one ugłaskać i przyuczyć do wykonywania czynności, których prawie niepodobna spodziewać się po zwierzęciu. W Indyach wschodnich używają słońca do wciągania na góry ciężkich dział, i tu właśnie pokazuje się w całej mocy rozum tego zwierzęcia; bo gdy zaprzężone do harmat woły ciągną z całej siły, to słoń popycha działo z tyłu

czołem, a za każdym posunięciem się działa, powstrzymuje kolanem lawetę, podstawiając drugie kolano pod koło. Słoń ściśle ulega rozkazom pana swojego: gdy ten mu każe nastraszyć kogokolwiek, wtedy idzie wprost na niego, jakby go chciał rozszarpać na sztuki; ale zbliżywszy się do winnego, wstrzymuje się, nie czyniąc mu nic złego. Wielu książąt Indyjskich i Afrykańskich chowają słońców do wykonywania posług katowskich. Gdy przewodnik słońca każe mu, prędko wyprawić przestępcę na drugi świat, to słoń w okamgnieniu rozstratuje go na miazgę; gdy mu zaś każe, zwolna go zamordowywać, to nieszczęsnemu łamie kość jedną po drugiej, zadając mu tym sposobem naj-sroższe męczarnie. Przed wynalezieniem prochu, ludy Azji i Afryki używały słońców na wojnach: przywiązywano im do trąby nagie szable, a na grzbietach utwierdzano małe drewniane wieżycy, zamykające w sobie 5 do 6 ludzi zbrojnych rogatynami. Niektórzy książęta Indyjscy i teraz jeszcze uzbrajają w ten sposób wielbłądów, a przynajmniej wsadzają im na grzbiet po kilku zapasników. Czasu wojny, zwierzęta te wypierają prze-mocą bramy miasta nieprzyjacielskiego, opierając

się grzbietem o nie. Na polowanie na tygrysa najdogodniej używa się słońa, bo na konie taki strach pada przy widoku tygrysa, że ich nie można powstrzymać, a raczej, że z miejsca ruszyć ich nie ma sposobu. Wprawdzie i słoń pokazuje jakiś wstręt od tygrysa, wszelako słońców przyuczają do tego widoku, pokazując im często nieżywe tygrysy; pomimo to słoń spotyka się z żywym nie bez jakiegoś drżenia, wszakże zaraz przychodzi do siebie, idzie śmiało na wroga, a gdy ten do tyła zbliży się do niego, że go słoń może trąbą schwycić, to tygryś niechybnie zginiony; lecz gdy tygryś zapuści słońcowi w trąbę straszliwe swe pazury, to najczęściej w takim przypadku pada słoń, gdyż trąba jest najczulszą częścią jego. Wszelako czasu łowów, rzadko przychodzi do takiej walki, ponieważ na grzbiecie słońa siedzą strzelcy, którzy strzelają do tygrysa i pewnie że celu swego nie chybiają. Ale i ognia unika słoń; potrzeba go więc z początku i ze strzelbami oswoić; jednak i to nie jest rzeczą tak trudną, bo go nawet już do tego doprowadzono, że może stać pośród sztucznych ogniów zwanych fajerwerkami.

Aby dostać słońa w moc swoją, używają do tego rozmaitych środków. Gdy upatrzą ich całe sta-

do od 40 do 100 sztuk, wówczas, w tej stronie, gdzie się one znajdują, robią potrójną osadę z ogromnych palów w taki sposób, że pomiędzy temi ścianami zostaje dosyć znaczna przestrzeń. W osadzie tej, zwanj Keddach, ściana zewnętrzna dalsza ze środkową węższą, a ta węższa znowu ze środkową najszerszą, komunikują się drzwiami. Obie pary drzwiów zewnętrznej osady, jako też i jej palisada, osłonięte są starannie gałkami tak, iż słońce biorą to za naturalną zarośl; otwory zaś w tych ogrodzeniach tak są ciasne, że słoń wprawdzie przejść przez nie może, ale obrócić się w nich nie jest w stanie. Gdy zasadzka już ukończona, wówczas całą tę okolicę opasują liczbą ludzi od 500 do 1,000, którzy zapędzają słońców do tej osady biciem w bębny, krzykiem i strzelaniem, co jednak często ciągnie się przez dni kilka. Za zbliżeniem się trzody do któregokolwiek otworu, podwajają wrzawę dopóty, póki jeden słoń dowodzący trzodą, po długim namyśle, nie wejdzie do łapki, do której i reszta słońców już za nim wchodzi. Wtedy zamyka się wchód, a dokoła całej tej warowni rozkładają ogień. Za pomocą tego hałasu przepłaszają trwożliwszych słońców do średniej, a z tej znowu do wewnętrznej

wówczas zagrody. Rozpacz słońców dochodzi do najwyższego stopnia: ryczą przeraźliwie, rzucają się na palisady— aby je zwalić, ale je odpędza znowu krzyk ludzi i ognie. W tém ludzie napełniają wodą rów znajdujący się wewnątrz, idący wzdłuż palisady; słońce biegną do niego, aby i pałace ich pragnienie ugasić i razem się ochłodzić. W takim stanie spoczynku zostawiają słońców przez dni kilka, podając im tylko przez rusztowanie z góry, skromny posiłek. Gdy już od głodu osłabną, wówczas ludzie otwierają przechód mający około sześciudziesiąt stóp długości, a w tym nieprzeestronnym chodniku, jakieśmy to już uprzednio postrzegli, słoń obrócić się nie może. Jak tylko głód zwabi tam słońca, zamykają drzwi wewnętrzne i zatarasowują z przodu przechód belkami tak, iż zwierze to widzi się zamknięte w ciasnym przestworzu. Wszystkie pokuszenia się jego o uwolnienie się ztąd, są napróżne, a gdy się zupełnie zmorduje, wówczas go krępują mocnymi linami i za pomocą swoich słońców uprowadzają tam, gdzie go ugłaskują. W przeciągu 5 lub 6 tygodni poznaje on już swego dozorcę, który go stopniowo z więzów uwalnia, a po półroczu już go wolnego za sobą prowadzi.

W Cejlanie łowią słońców takim sposobem: spuszcza się staw z otwartym labiryntem, poplątanym mnóstwem błędnych ścieżek, a ogradzają ścianami wszystkie inne wody. Gdy się to zrobi, wtedy ostawiają cały las, przeszkadzają słońcom pić i zapędzają ich wrzaskiem bądź innym jakimkolwiek hałasem do tego jedynej sadzawki. Jak tylko te zwierzęta wejdą do owych labiryntów, wówczas przybliżają się do nich już swojskie słońce i myśliwcy z ciasniejszych jeszcze chodników, a ostatni krępują jeńców. Ogłaskane słońce stają się wówczas przełożonemi nad niewolnikami i często porządnie chłoszczą trąbą niesfornych swych braci. Takim sposobem łowią niekiedy po sto słońców na raz.

Indyanie łowią pojedynczo samców, chodzących zazwyczaj osobno; łowią je zaś za pomocą czterech przyuczonych do tego samic. Strzelcy wychodzą z niemi w nocy do lasu, i szukają słońca, idąc wprost tylko na szelest, który słoń robi jedząc, a który ztąd jedynie pochodzi, że słoń ocięra odłamane gałęzie i bije niemi o przednie swoje nogi, dla spędzenia z tych gałęzi pyłu i owadów. Przy świetle księżyca można go widzieć z daleka. Samki podchodzą do niego z wielką ostrożnością, pasząc się

sobie drogą, i to uwodzi słonia tak, iż je bierze za zbłąkane od swego stada. Jeżeli dziki pokazuje niepokojność, co poznać można z tego, iż trąbą bije po ziemi, wówczas jest to dla samek rzecz niebezpieczna, bo częstokroć rzuca się na nie i mocno je kalęczy. Zazwyczaj wszakże pozwala się im przybliżać, a nawet sam idzie do nich. W takim przypadku ostawiają go strzelcy temi czterema samicami w taki sposób, że słoń zasadzki nie widzi, i gdy śmiało z samicami bawi się i pieści, ci tymczasem podpełzają po-pod samkami ku niemu, krępują go pośpiesznie i przywiązują mu do każdej nogi linę do 60 stóp długości. Poczém odchodzą samice, a spętany słoń ciągnie się jeszcze za niemi; postrzegając wszakże niebezpieczeństwo, stara się uciec do gęstwiny. Wtedy strzelcy na słoniach i tłum innych ludzi idą w ślad za nim, a skoro tylko zbliżą się do wielkiego drzewa, zaraz okręcają ciągnące się za słoniem długie liny dookoła pnia jego. Widząc się w ten sposób już na pół pokonanym, wpada w zajądlność, rzuca się na ziemię, ryje ją kłami i usiłuje całą swą mocą roztargać liny; co też mu się czasami udaje. Lecz gdy się dąsaniem ostatecznie zmorduje, wówczas strzelcy rozstawują samice zno-

wu tak jak pierwój, starając się podprowadzić go jeszcze bliżej ku drzewu, aby go tém lepiej skrupować i zapobiedz ostatecznie ucieczce jego. Po tém wszystkiém pętają mu przednie i tylne nogi tak, aby kroku śmiało postawić nie mógł; zawiązują mu powrozy na szyje— przymocowane do sznurów znajdujących się na szyjach samek, i pędzą go, chociaż z trudnością tam, gdzie zajmują się oswojeniem słoniów. Tak pojedynczo łowione samce, rzadko bywają o tyle łatwe do powodowania, o ile nimi są inne, a zwłaszcza młode.

Zapewnie radebyście wiedzieć i o sposobie życia słoniów; otóż wam i o tém powiem słów kilka.

Lubią one, znajdując się w stanie dzikości, brzegi rzek, głębokie doliny, miejsca cieniste i grunt wilgotny. Nie mogąc obéjść się bez wody, napełniają nią często trąbę, nie przeto tylko, żeby pić, lecz też i dla ochłodzenia nosa albo i dla igraszki; aby nią, jak z fontanny pryskać dookoła na daleką przestrzeń. Słonie nie znoszą zimna, wszakże i wielkie upały są dla nich dolegliwością. Dla uniknięcia słonecznego skwaru, uciekają w głąb lasów i często się kapią. Ale otóż właśnie i naszego tu



słonia prowadzą do kanału, a może też i zobaczenie, jak się to on kąpie.

Pokarm słonia jest tylko z królestwa roślinnego, jako to: korzenie, trawa, liście, delikatne drzewo, owoce i zboże. Ponieważ słonie potrzebują na południowy posiłek znacznej ilości pokarmu, przeto wyrządzają, wszedłszy na pola, ogromną szkodę, wydeptując dziesięć razy więcej zboża, niżeli go spożywają. Mały słoń w menażeryi Królewskiej otrzymywał codziennie, oprócz ofiar ze strony widzów, po 8 funtów chleba i 12 garncy wina; bo słonie lubią szczególnie napoje; a nadto 2 wiadra zupy, do której nakrawywano od 5 do 6 funtów chleba. Zamiast zupy, co dwa dni, dawano mu na raz, po dwa wiadra ryżu odgotowanego w wodzie; nakoniec dla rozrywki jego, dawano mu codzień po jednym snopie zboża; powiadam dla rozrywki, gdyż po zjedzeniu ziaren, wiązał słomę w pęczki, któremi odpydzał muchy; bawiło go też rozrywanie jej na drobne kawałki, co nadzwyczaj zręcznie wykonywał palcami swęj trąby. Drugiemu słoniowi dawano codziennie centnar siana, 18 funtów chleba i kilka kuszów rzepy. Wody na raz wypija słoń 20 garncy.

Słoń ma bardzo ostry słuch i delikatne powonie-

nie; ma on bardzo lubić zapach kwiatów; z nich układa dla siebie bukiety, długo je wacha, a nakoniec niesie do pyska i pożera; brzydzi się zaś złym wyziewem zwierząt, a zwłaszcza świń. Posługi sprawowane przez słoniów, odpowiednie są ich sile. O niektórych już wam namieniłem; wyłącznie wszakże zależą one na dźwiganiu ciężarów i pociągu, gdyż słoń może dźwigać od dwóch do czterech tysięcy funtów. Podróżujący Filipus powiada, że widział słoniów w Goa ciągnących ogromne okrętowe drzewo w taki sposób: do najcięższej belki przywiązywano linę, którą słoń zawijał sobie dokoła trąby i takim sposobem ciągnął materyał na miejsce uprzednio jemu wskazane. Gdy inne belki zawadzały mu na drodze, wówczas swoją podnosił do góry, aby ją po nad tamtęmi przenieść. W Indyi i Persyi jeżdżą znakomici panowie i panie na słoniach, niosących na grzbiecie wygodne siedzenia z baldakinami, pod któremi siedzą ci panowie.

Dla grubości i ciężaru skóry słoniowej używają jej jedynie tylko na puklerze, witki do jazdy konnej i t. p. Mięso daje się jeść z przyjemnością; najkosztowniejszą rzeczą wszakże są zęby, a zwłaszcza zęby słoniów afrykańskich, jako największe; i

najwięcej też ich zakupują, ponieważ z nich otrzymuje się najwyborniejsza słoniowa kość, z której piękne i wielkie kawały do rozmaitych dzieł kunsztownych, a równie spore tabliczki do malowania miniatur wypiłowywać można. Lecz oto nasz stół już się oddala, a ponieważ mamy przed obiadem jeszcze zobaczyć drugie, także bardzo wysokie zwierze, więc się i nam śpieszyć należy.



Po oddaleniu się od słonia, puściła się dalej rodzinna Majnau przesłicznym gaiem, w którym się znajdowały sarny i daniele tak swojskie, że z ręki jadły, i to ją nadzwyczaj ucieszyło. Lecz że czas jej był ograniczony, nie mogąc więc tu długo zatrzymać się, przeszła sporym krokiem gai i wkrótce ujrzała się znowu na obszernym, ze wszech stron kratami ogrodzonym miejscu, na którym była krzewina i dużo zabudowań. Za ledwo dzieci przybliżyły się do kraty, wnet jednogłośnie prawie zawołały: co za śliczne, co za wspaniałe, co za przecudne stworzenie! A ojciec rzekł do nich: macie słusność, dziatki moje! zwierze to zarówno piękne jak dziwnie zbudowane. Przypatrując się zwłaszcza każdej części jego z osobna, śmiało powiedzieć się go-

dzi, że ślicznie utworzone, chociaż patrząc znowu na ogół, postrzegamy w nim najdziwniejsze stosunki. Spójrzcie-no dzieci! teraz właśnie podnosi się ono, możecie mu zatem dokładnie przypatrzeć się. Czy uważacie też tę wysmukłą, łabędią szyję, z prześliczną grzywą i cudnie utoczoną główką, z łagodnymi i błyszczącymi oczami; z krótkimi nóżkami przystrojonemi w sierść; przypatrzcie się tym wysmukłym nogóm i majestatycznej wysokości tego zwierzęcia; tym wdzięcznym i cudownym ruchóm szyi, a razem i delikatnemu rysunkowi jego skóry. Nad wszystkiém tém zdumiewać się i zadziwiać trzeba. Ale powiedźcież-no mi, jak się to zwierze nazywa?

Jeden tylko Wilhelm wiedział nazwę jego, bo widział kiedyś rysunek tego zwierzęcia; rzekł przeto: wszak prawda, kochany ojcze, że to Żyrassa?

*Ojciec.* Rzeczywiście tak; jest to Żyrassa: najwyższe ze zwierząt ssących, bo ma od 18 do 19 stóp wysokości, mierząc ją od kopyta do wierzchołka rogów. U samca, przed osadą rogów, jest jeszcze kręglowaty garbek. Piękne graniaste, brunatno-żółte plamy na tle białawém, zdobiące skórę te-



go zwińczenia, ciemniej na starość, zwłaszcza u samców, i wtenczas plamy te jeszcze są piękniejsze.

*Augusta.* A gdzie mieszka Żyrafa?

*Ojciec.* Ojczyzna jej ogranicza się małą częścią północnej i południowej Afryki. Żyrafa mieszka właściwie między Kapkolonią i Nubią, zazwyczaj małym stadem, bo zaledwo składającym się z czterech do sześciu sztuk, i to w najdzikszej, bo zupełnie bezpłodnej okolicy; wyszukując wtedy tylko obfitujących w wodę i żywność zagonów, gdy pożywienia potrzebuje.

*Karol.* Ale czemuż one obierają za siedlisko tak puste i bezpłodne strony?

*Ojciec.* Zapuszczają się one do tych dalekich i pustych miejsc dla tego pewnie, że ztamtąd mogą dostrzegać na daleką przestrzeń nieprzyjaciół swoich, i zawczasu ratować się od nich ucieczką. Szczególnie groźnym jest dla nich lew, z którym wszakże, na przypadek koniecznej potrzeby, do walki stawają. Walkę tę toczą z największą rozpaczą, i chociaż rogów nie mogą używać jako broni, są jednak w stanie kopytami, któremi niesłychanie szybko brykają, zadawać nieprzyjaciółom swoim ciężkie, a nawet śmiertelne ciosy. Wówczas tylko, gdy nie-

przyjaciel z tyłu wskakuje na grzbiet Żyrafy, nie jest ona w stanie bronić się, i wtedy już bez oporu musi paść ofiarą tego króla zwierząt.

*Wilhelm.* Ale, ile mi się zdaje, chód Żyrafy musi być bardzo ciężki, jakimże sposobem zdoła uciekać od swego nieprzyjaciela?

*Ojciec.* Niezaprzeczenie, że chód jój takim się być wydaje z tego względu, iż wielkość i ciężar swych przednich części siłą tylko swych muskułów utrzymywać może, a dla utrzymania równowagi szyję w tył wychylać musi. Gdy stawia naprzód przednie nogi, i szyja naprzód się podaje, wahając się nieustannie to w jedną to w drugą stronę. Pomimo to jednak, bieg Żyrafy, zwłaszcza gdy ucieka, jest nadzwyczajnie prędki— z powodu ogromnych jój kroków; tylko, że długo biegania nie wytrzymuje, i że z trudnością wdziera się na wzgórze. Zwyczajny chód jój jest taki, jak u szłapaka czyli jednochodźca; jednochodźcami zaś zowią konie dźwigające razem jedną przednią i jedną tylną nogę z jednej i tejże samej strony.

Trudno też Żyrafie podejmować z ziemi pokarm, bo musi wówczas nogi tak rozszerzać, aby się

tułów poniżył dla spuszczenia szyi— o ile tego potrzeba.

*Emma.* A jakież to czarne brzydactwo wysuwa ona teraz z gęby? Czy to, coś tak długie i marszczkowane nie jest czasem jój język?

*Ojciec.* Istotnie tak, moja Emmo. Długość, na jaką ona go wystawić jest w stanie, i jego nadzwyczajna ruchawość, są to rzeczy bardzo pożyteczne dla tego zwierzęcia. Ponieważ trudno Żyrafie szukać dla siebie żywności na ziemi, więc jój dla siebie upatruje na drzewach; wszakże zaledwo zdołałaby ona obrywać i zjadać małe gałązki, gdyby jój język najdzielniej nie posługiwał. Obwija go więc dokoła liści lub małych gałązek, odrywa je w taki sposób, i wprowadza do pyska; a gdy się jój nie podobają, to język od nich uwalnia. Najlepiej mają jój do smaku przypadać listki i gałązki akacyi, którą też ztąd nazwano *akacyą Żyrafy*. Roślina to bardzo soczysta i ma być przyjemnego smaku. W niewoli, jedzą też Żyrafy i siano; szczególnie zaś, a nawet z wielkiem upodobaniem spożywają świeży liść topoli. Ważną rzeczą dla tych zwierząt jest także owa czarna barwa ich języka; barwa ta pochodzi od czarnej, klejkowatej siatki, pokrywającej język,

i niedopuszczającą, żeby skwarne promienie słońca, na które się naraża przy chwytaniu pokarmu, ociągnęły go pęcherzami.

*Augusta.* A czy jedzą ludzie mięso Żyraffy?

*Ojciec.* Jedzą, bo i smaczne i bardzo posilne. Ale nade wszystko mleko samki jest w wielkiem użyciu. Prześliczne skóry tego stworzenia, używają się na dyfytki czyli kapy służące do okrywania koni. Że Żyraffy utrzymują dla ozdoby zwierzyńców, łatwo się tego domyślicie. W Aleksandryi płacą bardzo drogo za Żyraffy, i dla tego-to usilnie polują na nie. Zwyczajnie udaje się na pustynie dwóch jeźdźców konno, z dwoma wielbłędami objuczone mi żywnością i wodą na dni kilka. Wielbłędów zostawiają na przyzwoitem miejscu, a sami upatrują śladów Żyraffy. Upatrzywszy trop, przedewszystkiem starają się rozpoznać, jak on dawny; jeżeli się pokaże, że to trop świeży i młodej Żyraffy, to natychmiast rozpoczynają łowy; i jeździec łatwo spodziewa się zoczyć ją w kilka godzin; gdy zaś ją rzeczywiście postrzeże, szczuje, usiłując sam ocalić się ucieczką. Chociaż Żyraffa jest bardzo chyża, wszelako, gdy jeszcze młoda, bywa zbyt bojaźliwa; biega więc w różne strony, a przeto zręczny i doświad-

czony myśliwy, może ją prędko w biegu przesadzić. Jak tylko ją dopędzi, zarzuca jej petlę na szyję i przyciąga, o ile można najbliżej, do swego konia. Żyraffa rzuca się na wszystkie strony, ale koń wprawny już do takiego polowania, wlecze ją za sobą aż do miejsca najbliższego, zamieszkanego przez ludzi; gdzie ją żywią mlekiem wielbłądziem, nim zaczną powoli jeść siano i trawę; wszelako mleko, w niewoli Żyraffy, stanowi jej główne pożywienie. Przewiezienie tego zwierzęcia do Aleksandryi, połączone z wielkimi trudnościami. Że zaś Żyraffy należą do najdelikatniejszych zwierząt, dla tego też i drożej za nie płacą. Ale dzieci! pójdziemy dalej; bo gdy już jesteśmy w tej części ogrodu, bardzo bym sobie życzył, żebyście wszystko widziały, co się tu znajduje; pójdziemy zatem tą małą poboczną aleją, bo ta doprowadzi nas najprościej do ptaków.

Z temi słowy ruszyło towarzystwo nasze; dzieci pobiegły naprzód wesoło, a ojciec szedł za nimi. Lecz zaledwo Karolek, który prześcignął wszystkich, dobiegł do końca alei, a wnet radośnym krzykiem począł skłaniać rodzeństwo, aby pośpieszało w tę stronę; ponieważ on widział już wielkie ptaszarnie, a w nich prawdziwie okazałe ptaki. Dzieci

więc pobiegły na wyścigi i radośnie wykrzykiwały, stanąwszy u kresu.

Piękny bo to był widok, zobaczyć razem na małych drzewach i krzakach, otoczonych ptaszarniami albo klatkami, wielką gromadę wesołych ptaków najrozmaitszego rodzaju. Co to za życie panowało w pośród tych wesołych, skrzydlatych śpiewaków! Najwdzięczniejsze melodye płynęły z ich gardzieli, do których mieszał się często przeraźliwy wrzask papug. A też różnaitość kształtu i barwy tych zwierzątek! te tak różne, do charakteru zwierzęcia zastosowane nazwy! jakże to wszystko zajęło dzieci. Nie wiedziały one nakoniec, w którą stronę zwrócić oczy; bo zaledwo je utkwiły w jedną stronę, wnet głos innych ptaków z drugiej wabił ich wejrzenia ku sobie. Ale jakież to były ptaki, których widokiem cieszyły się dzieci? Niektóre z nich już poszczególniłem, jako to: papugi. Widzielić też tam można było pasowe i błękitne Ary z wielkim dziobem, z nagiemi, a tylko w cieniutkie piórka porośniętymi policzkami, i z długim, klinowatym ogonem. Dalej, białe Kakadu z pasowym i żółtym czubem ruchawym, którym czasami dumnie potrząsają. Tu właściwe papugi w ogromnej ilości; małe nie-

rozdzielniki (inseperabile); wielkie szare, czerwono-ogone, papugi Amazonki i pyszne szkarłatne *Loris* aż do zielonych, długo-ogonych papug *Alexandryjskich* z blado-różową przepaską na szyi. Inne ptaki były-to po największej części śpiewające ptaki z pod gorącej strefy, jako to: ziarnojad ze ślicznymi popielatymi piórami, z czarną głową i takimże ogonem; z białymi policzkami i różowym dziobem; szkarłatny wielki ziarnojad, zwany Grenadyer, z czarną głową i takimże brzuchem, a brunatnymi skrzydłami i ogonem; prześliczny czerwony, z czarną gardzielą, czubaty Kardynał-ziarnojad; nadobne *sene-galczyki* z pasowym dziobem, z szaremi i brunatnymi, rokosznie igrającymi piórami; i jeszcze mniejszy czerwony i brunatny, biało-nakrapiany Bengalczyk. Ale ze wszystkich tych ptaków najwięcej podobał się Augustcie ptaszek wielkości drozda, chociaż nie miał pięknych piórek; a podobał się dla tego, że z pomiędzy wszystkich ptaków śpiewał najgłośniej, najpiękniej; dla tego więc spytała ojca, jak się ten ptaszek nazywa? a ojciec jej odpowiedział: nie tylko oko podróżującego, zbliżającego się do lasów Amerykańskich i postrzegającego roje tak piękno-piórych ptaków, ale i ucho zachwyca się tą

roskoszą, jakiej nam nawet nasz słowik sprawić nie może. Słowika naszego nazywamy zazwyczaj królem harmonii. Nazwą tą, porównyując ze słowikiem sławnego jakiego śpiewaka lub śpiewaczkę, cześć im najwyższą okazujemy; bo czujemy się jakby oczarowanymi, gdy słodkie dźwięki słowika płyną rokosznym potokiem z piersi jego; a jednak jest nad niego jeszcze wyższy śpiewak, który przechodzi czarodziejską harmonią śpiewu swojego, wszystkie ptaki świata. Tym piewcą jest właśnie Amerykański podrzeźniacz, ten oto w skromnej sukience ptaszek, który się tak pódobał naszej Augustcie. Rozmaitością i bogactwem swych dźwięków przewyższa on wszystko, cokolwiek nas kiedy harmonią zachwycać mogło. Posłuchajcie tylko, co też nam mówią podróżni o jego czarodziejskich tonach. Ptak ten ma, nie tylko sobie wyłącznie właściwą melodyę, lecz nadto posiada on dar naśladowania śpiewu wszystkich ptaków— w sposób do niewypowiedzenia ułudny, a razem, ma dar upiększania tych śpiewów. Wtórkuje on śpiewowi swemu pewną precyzją postawy i ruchów, a nawet zdaje się, że się przenika do głębi uczuciem, dźwięcząc pieśń swoją. Zaczynając piosnkę zwolna, podnosi skrzydełka, potem je w miarę

spadu tonu opuszcza, a wreszcie, tańcem i gestem nadaje więcej uczucia swęj pieśni. Gdy z garetka swego zacznie dobywać szalone, bystre przechody, wówczas śmiały ten śpiewak unosi się lotem błyskawicy w powietrzu; a gdy wydaje grzmiące, przezrazliwe, namiętne tony, to i w locie swoim rzuca się równie bystro i żywo; gdy zaś dźwięk jego spada na sztuczne finały, to wybija do nich takt skrzydłami, i zamyka nakoniec pieśń swoją tak, iż najpełniejszy ton, i najbardziej zachwycająca melodya— coraz słabiej, i— jakby kona. W miarę ściszenia się dźwięków pieśni jego, słabną stopniowo i ruchy skrzydeł; i na końcu jakby w zachwycie, zdaje się, że zawieszony w powietrzu, już się więcej nie ruszy. Z potoków téj harmonii zdaje się płynąć miłość namiętna i jakaś niewypowiedziana tęsknota, a słuchacz zapomniawszy na świat cały, wszystek duszą i ciałem zlany niby w słuch jeden, marzy w zachwyceniu, że jest w jakiejś nie ziemskiej, czarownej krainie. Słusznie zowią go Amerykanie, z powodu takiej rozmaitości tonów jego, ptakiem czterestu-głosowym (Concontlatolli).

Równie jak nasz słowik tak i ten ptaszek uczy nas, że pod lichą sukmaną, często skrywa się to,



co najszlachetniejszym i najpiękniejszym nazwać winiśmy. Piórka jego bardzo są proste, bo z wierzchu popielate, a pod piersiami bledsze; skrzydełka i ogonek ma czarne; na skrzydłach tylko są białe plamy; wierzchnie piórka na ogonka są także białe.

Sam ten ptaszek ma długości cali  $9\frac{1}{2}$ ; rozległość zaś skrzydeł jego rozpostartych, od końca jednego do końca drugiego skrzydła, wynosi 13 cali.

Ojczyzną jego jest właściwie Ameryka północna; dziś wszakże już on się rozrodził po całej Ameryce, a nawet w południowej już więcej go widzieć można jak w północnej. Pokarm jego stanowią: gorzkie i klejkie jagody, a zwłaszcza nasiona cedru, mirtu i ostrokrzewu. W zimę żywią się podrzeźniacze owadami, osobliwie z gatunku much, na które bardzo są łakome, i umieją je łowić bardzo zręcznie.

O budowie gniazd ich Wilson nam opowiada: Czas, w którym podrzeźniacz zaczyna budować gniazdo dla siebie, stosownie do szerokości, pod którą się znajduje, bywa bardzo rozmaity. W nizinach Georgijskich, zaczyna je wcześniej w Kwietniu składać, w Pensylwanii zaś przeciwnie— rzadko przed 10 Maja, a w Nowym Jorku i w stanach nowej An-

glii, zwija je jeszcze później. Są miejsca, które on przynosi nad inne. Samotny krzak cierniu, prawie niedostępna gęstwina, drzewo pomarańczowe, cedr lub ostrokrzew są ulubionymi jego miejscami, które najczęściej sobie obiera; nie odstrasza go nawet od nich bliskość folwarku, albo też i domu mieszkalnego. Zawsze gotów do bronienia swego gniazda i niezbyt trwożliwie z niem ukrywając się, buduje je często w bliskości domu na jabłoni lub gruszy, a rzadko kiedy wyżej je składa od ziemi nad 6 lub 7 stóp. Kształt gniazda tych ptasząt nie zawsze jest jednaki, bo budowanie jego zależy od większej lub mniejszej obfitości materiału, potrzebnego do budowy.

„W tej chwili” mówi Wilson, „mam właśnie przed oczyma doskonałe gniazdo, składające się z rzeczy następujących: najprzód, z pewnej ilości suchych gałązek i chróstu; potem, ze zwiędłych przeszłorocznych wierzchowin mchu, pomięszanych z cieniutkimi źdźbłami słomy, siana, ze zgrzebiami wełny i pakuły; nakoniec, z grubiej warstwy delikatnej kosmacizny korzonków”. Jajek składa od 4 do 5, które są szaro-niebieskiego koloru, brunatno nakrapiane. Samka wysiaduje dwa razy na rok, a nawet zda-

rza się, że i trzy razy to czyni, gdy jej jaja odbiorą; wysiaduje je zaś w przeciągu dwóch tygodni.

Koty i inne zwierzęta, a zwłaszcza węże, są jego nieprześląganemi wrogami, i szczególnie podkra-  
dają się do piskląt i do zniesionych jajek; ale śmia-  
ły samiec podrzeźniacz nie lęka się nieprzyjaciół  
swoich, mężnie rzuca się on tak na kota, jak i na  
węża. Walka jego zwłaszcza z wężem godna jest  
uwagi. Jak tylko wąż podpełza do gniazda jego, na-  
tychmiast— pędem błyskawicy spuszcza się ptaszek  
na niego; mierzy w łeb wroga, i rani go dziobem  
niechybnie i z zjadłością. Wąż, widząc niebezpie-  
czeństwo, usiłuje umknąć; ale rozdrażniona ptaszy-  
na ściga go, zadaje mu jeszcze niebezpieczniejsze i  
silniejsze uderzenia dziobem; bije go skrzydłami, i  
dopóty się nie oddali, dopóki wąż albo całkowicie  
nie osłabnie, albo zupełnie nie zginie. Uradowany  
zwycięzca wznosi się wtedy na wierzchołek drze-  
wa, i dzwoni hymn zwycięstwa, hojnie nagradza-  
jący baczego świadka, trwożliwie oczekującego w u-  
kryciu końca niepewnej tej walki, i bojącego się o  
ulubionego śpiewaka, a razem też i o tak wiernego  
stróża piskląt swoich.



Próbowano utrzymywać te ptaki w klatce, w któ-  
rej niezaprzeczenie wymagają one troskliwego pie-  
legnowania; urządzano też dla nich wielkie, samo-  
rodne płoty, w których zasadzono krzaki cedru; i  
ptaszki te zwijały sobie w nich gniazdeczka, skła-  
dały w nich jajka i wysiadywały je; ale gdzie są  
tak sztuczne gniazda, tam nie powinno być w bliz-  
kości, ani szumu ani najmniejszej przeszkody.

A teraz, dziatki moje, rzekł ojciec po jakimś czasie: ponieważ wszystkie ptaki, które tu widzicie, pod względem rodzaju życia mało odstępują od naszych, a o tym z wami w późniejszych naszych naukach mówić będę; przeto, napatrzwszy się już do woli na zgromadzone tutaj, udamy się dalej.

*Wilhelm.* Ach! o papugach kochany ojciec bardzobym rad czegoś dowiedzieć się.

*Ojciec.* Te, bez wątpienia różnią się od właściwych, śpiewających ptaków—tak dalece, że o nich wam nie przemilczę; lecz że to, co mam powiedzieć, nie zajmie nam wiele czasu, opowiem wam zatem drogą do owjej ptaszarni, znajdującjej się na końcu tamtej drugiej alei. Papugi, są to jakby małpy ptaszego rodu, a przynajmniej—często bywają tak śmieszne jak małpy. To jedną nogą biorą pokarm i niosą go do dzioba, to znowu tą nogą skrobią sobie za uchem; to zawiesiwszy się na gałęzi, trzymają się jej dziobem; to nim cokolwiek otwierają, albo wreszcie na przemian gwizdzą, gadają, śmieją się lub wzdychają; raz są wesole, a zwłaszcza, gdy je kto pieści; drugi raz znowu smutne, a nawet i złe, gdy z niemi surowo postępują; okazują przywiązanie, miłość, lecz także zazdrość i ka-

prysy. Jeżeli takie własności robią ich ulubieńcami ludzi, to więcej jeszcze skłania do nich człowieka piękność ich piór, wielka pojętność przez nie okazywana, a nadewszystko wielka łatwość wyuczenia się gadać. Znamy już kilkaset gatunków papug, a z tych największa część ma piękne pióra, chociaż prawie zawsze najjaśniejszych kolorów; mało wszakże jest całkiem czarnych, szarych lub brunatnych. Musi to rzeczywiście robić dziwne wrażenie, gdy je ktokolwiek po raz pierwszy w rodzinnych ich lasach zobaczy; gdy postrzeże, jak pięknie różnobarwe ich pióra ożywiają posępność ciemnych lasów; i gdy przywyklszy do różnokolorowych, częstokroć nawet za żywych barw, postrzeże nagle brudno-zieloną, brudno-brunatną, albo zupełnie czarną papugę, stworzoną niby dla tego, aby reszta jej sióstr, w tak pyszne szaty wystrojonych, tym lepiej się wydawała. Nie mniej zapewne przeraża wędrowca dziki i niustanny wrzask tych ptaków, mieszający się na przemian ze świszczącym, żałośnym lub ryczącym krzykiem małp i innych zwierząt, rozdziierając mu uszy w sposób niewypowiedzianie przykry.

*Karol.* A w jakim kraju żyją papugi?

*Ojciec.* Żyją one pod gorącą strefą całego sta-

rego i nowego świata, a na każdej wyspie znajdują się prawie oddzielne ich gatunki, bo ciężki lot tego ptaka, nie pozwala mu przenosić się za dalekie morza. Żyją one parami, wszelako zbierają się czasem i w wielkie stada, napadają na plantacje i wyrządzają tam największe szkody. Żywią się one nasionami i słodkimi owocami. Jajka swoje wysiadują w dziupłach, nie robiąc dla nich gniazd osobnych i sztucznych.

*Emma.* Wszak mówiłeś ojczy, że papugi także gadają; ale jakimże one językiem mówią? Czy ja mogłabym go rozumieć?

*Ojciec.* Kochana Emmo! nie tylko papugi, ale i szpaki i kruki i t. p. gadać mogą, wszakże gadają zawsze takim językiem, jakiego je nauczą. Ale nie bierz ich mowy za ludzką, bo kiedy my mówimy, to wymawianymi słowami wyrażamy razem myśl jakąkolwiek; papuga zaś— jest to tylko taki gaduła, który zupełnie tak, jak ty czasami, wszystko powtarza co usłyszy, nie mając pojęcia o znaczeniu wyrazu. Nie może też papuga od razu, usłyszawszy jakiś wyraz, powtórzyć go, ale dopiero po bardzo częstym wymawianiu tego słowa przez człowieka; wszakże i wtenczas nawet, po kilku leciech,

wymawia wyrazy, których się nauczy— nie pytana; a ponieważ ich znaczenia nie rozumie, przeto używa ich nie w miejscu i niewłaściwie.

*Augusta.* Musi to być dziwnie i strasznie: znajdując się jednej w pokoju, usłyszeć nagle jakąś mowę, a nikogo nie widzieć.

*Ojciec.* W istocie tak jest, i dziwić nas nie powinno, gdy ktokolwiek, któremu się w życiu nie zdarzyło słyszeć mówiącego ptaka: jedną razą usłyszy z dziobu jego dźwięk mowy ludzkiej. Zatrwała to człowieka niezaprzeczenie; jak też zaprawdę było to raz z chłopkiem, który usłyszawszy papugę gadającą w pokoju znakomitego jakiegoś pana, kłaniał się jej z największą uniżonością, mówiąc: przepraszam panią, bardzo przepraszam! Niech pani mi z łaski swojej przebaczy, bo ja dalibóg myślałem, że pani jesteś sobie ptakiem! Podobnie zdarzyło się też i z pewnym sługą— tylko co przyjętym do pewnych panów, a który, znajdując zręczność przeniewierzenia się, już zamierzał coś ukraść; gdy papuga pana jego wrzasnęła: «Jakóbie! tyś złodzieju! ty złodzieju!» Krzyk ten tak przestraszył służącego, że zaraz zaniechał swego przedsięwzięcia. Mnie samemu zdarzyło się raz widzieć papugę, która rze-

czywiście mówiła tak wyraźnie jak człowiek; a gdy do niej ktokolwiek, zbliżywszy usta do klatki, przemówił: papuziu! pocałuj mnie, to ta, nie tylko, że dotykała ust jego swym dzióbem, całując niby na prawdę, ale też zaraz potem wesoło wykrzykiwała: „ach jak dobrze! jaki smaczny buziak!” i znowu na środek klatki odskakiwała. Prawdziwą rozrywkę, tak z powodu swój gadatliwości jako też i dla śmiesznych ruchów, sprawuje szara papuga zwana Jako, która, niezaprzeczenie, najlepiej gadać może; po niej zaś, przed wszystkimi innymi zajmuje miejsce biały Kakadu, z czubem siarczystego koloru. Pierwsza pochodzi z zachodniej Afryki, druga zaś— z wysp Moluckich. Względem osób nieznanym, Kakadu bywa chytry, lecz za to bardzo się przywiązuje do swego pana, co też rozmaitemi pieszczotami stara się mu okazywać. Gryzie go ona zlekka wielkim swym dzióbem, wyprostowuje sporą swą kitę, lub też dotyka się dzióbem lub językiem twarzy tego, który ją pieści. W taki to i w wiele innych jeszcze sposobów okazuje ona radość i przychylność do tych, których lubi. Gdy podłożymy jedną rękę pod spód, a drugą umieścimy na jej grzbiecie, to papuga mocno tuli się do ręki pod nią będącej, trzepocze skrzy-

dłami, otwiera dziób i okazuje najprzyjemniejsze dla niej uczucia. Utrzymują ją zazwyczaj w wielkich klatkach, albo-li też pozwalają jej swobodnie latać po pokoju, w którym, rzecz prosta, bez porównania więcej sprawuje rozrywki— niż w ciasnej klatce; popolicie bowiem, albo siada wtenczas przy panu swoim, albo przynajmniej, na rozkaz jego, natychmiast do niego przychodzi. Jest ona przytęm ochędóżna i bardzo pojętna; z łatwością wyucza się to śmiać się, to gwizdać, to na zawołanie czub nastawiać, kłaniać się grzecznie ludziom, a także, choć trudniej jak szara papuga, wyucza się i mówić po kilka słów na raz. To wszakże i o wszystkich innych papugach białego gatunku powiedzieć można. Nadzwyczaj miłe papugi są to: *nierozdzielniki* (*inseparabiles*); są one prawie tej wielkości co i nasz gil, a piórka mają jasno-zielone; szkarłatne czoło i gardziel. Brzegi skrzydeł i niższa część grzbiecia są błękitne; pióra w ogonie— z wierzchu czerwone, z dołu mają czarną pręgę, a wierzchołek zielony. Dwa środkowe pióra w ogonie są całkiem zielone. Miłe te stworzenia są bardzo towarzyskie i dla tego też najczęściej utrzymują je parami. Samiec okazuje swój samce dziwnie tkliwą miłość, karmi ją i pieści. Ale

i samka równie jest czuła dla niego; a gdy ich rozdziela, smutek ich wtedy widoczny. Utrzymywano z pewnością, że smutek ten zabija osieroconą ptaszynę, i dla tego to właśnie, aby jej ulgę sprawić w tym smutku, stawiają jej lusterko w klatce, w którymby, widząc własny swój obraz, tém snadniej się łądziła i w taki sposób pocieszać się mogła. Wszelako późniejsze doświadczenia stwierdzają, że i pojedynczo w klatkach utrzymywać je można, i że przez to nie tracą z wesołego swego humoru.

*Augusta.* A czy i te stworzenia także wyuczają się gadać?

*Ojciec.* Nie, bo nawet głos ich ma w sobie coś nieprzyjemnego, a trzymają je tylko dla pięknej ich powierzchowności, i że to tak ładne, malutkie i śmieszne stworzenie. Ale otoż jesteśmy już przy innej ptaszarni, w której zobaczycie ptaki, co was prawdziwie ucieszyłyby powinny.

*Wilhelm.* Ach! wszak to struś! Ale jakież to znowu ogromny ptak drapieżny w klatce obok zawieszony?

*Ojciec.* Jest to Kondor, największy ptak drapieżny. Przypatrzmy się zblizka im obu, a zwłasz-

cza strusiowi. Jest to struś afrykański, najwyższy ze wszystkich ptaków. Ten tutaj jeszcze zupełnie nie doszedł właściwego wzrostu, bo zwyczajna wysokość strusia jest 7—8 stóp. Różni się on od innych swego rodzaju ptaków tém: że ma tylko dwa palce, z których wewnętrzny—bardzo duży, zaopatrzony jest ogromną i silną szponą; zewnętrzny zaś—jest mniejszy i bez szpony. Lotki i pióra strusie są długie, szerokie, wątłe, wełnisto-strzępione i białe. Inne pióra, jak to widzicie, są czarno i biało nakrapiane, i pomieszane z sobą. Na tak słabych lotkach i piórach stęrowych, ptak tak ogromny jak struś, nie może wznosić się w powietrze, lecz w zamian za to, dało mu przyrodzenie tak wielkie i silne nogi, że na nich z taką prawie szybkością przenosi się z miejsca na miejsce, z jaką zaledwie skrzydłem wiele innych ptaków sprostać mu może. Struś zamieszkuje niemal całą Afrykę i Arabię, a lubi szczególniej pustynie piaszczyste. Czasami strusie biegają stadami rzadko mniejszemi od sta sztuk; w spolicie jednak znajdują je w małych oddziałach—składających się z jednego samca i 3 lub 4 samic; i wtedy tylko, gdy je zmusza wielki upał lub susza do oddalenia się z téj strony, stowarzyszają się w wiel-

kie stada. Samka składa swe jaja zazwyczaj do jamy, którą wspólnie z samcem w piasku wygrzebuje, otaczając ją nasypem w kształcie wału, i zostawiają wygrzanie jaj swych częścią słońcu, częścią zaś robią to same— czasu chłodniejszych nocy, mieniając się tą czynnością samka z samcem na przemian. Jajko strusie waży prawie trzy funty, ma ono niemal 6 cali wysokości, a miąższość zawartą w skorupie jego wyliczają za odpowiednią białkom i żółtkom 24 jaj kurzych. Przezornie ukrywają strusie to miejsce, w którym złożyły swe jaja. Nie lecą one nigdy ku nim prostą linią, lecz rozległym łukiem, gdy do źródeł biegną zazwyczaj w najprostszym kierunku. Żywność strusia składa się z wielkich żuków, nasion, owoców i t. p. Ludzie usiłovali ugłaskać to zwierze, i to się im powiodło do takiego stopnia, że osadnicy niektórych stron południowej Afryki przyuczylili je do posługi wierzchowców, t. j., że na nich jeżdżą— jak na koniu. Mięsem ich żywią się szczególnie mieszkańcy południowej Afryki, a ze skór strusich wyrabiają wyborne nakrycia; że zaś piór z ogona i steryowych— pięknie puszystych, a sztuką jeszcze więcej nastrzępiać się dających, używają od niepamiętnych



czasów do ubrania głowy, o tém już wiecie dostatecznie.

*Augusta.* Jakimże sposobem zabijają to wielkie i szybkie stworzenie?

Główny dozorca zwierząt, człowiek poniekąd wykształcony odbywanemi podróżami, zbliżył się podczas tego opowiadania, przysłuchiwał się mu uważnie i z przyjemnością, a potem odezwał się: Pozwól mi panie wyręczyć cię w tój odpowiedzi, bo ja osobiście uczestniczyłem w łowach na strusie czasu mojej podróży po Afryce. «Ach! opowiadaj pan, opowiadaj! bardzo prosimy! zawołały dzieci.»

A przełożony nad zwierzyńcem tak zaczął opowiadanie swoje: Czasu jednej z naszych wędrówek, wypadło mi przebywać spory kawał ziemi przez skwarną pustynię, w której, ani kropli wody, ani cienistego miejsca znaleźć nie można było. Pałace piaski, skwar słoneczny, a do tego najokropniejsza jednostajność rozległej i głuchej pustyni, nie następującej nawet dla oka miłszego obrazu, uczyniły dzień ten jednym z najsmutniejszych w całym mém życiu. Wszakże, męczarnia ta nie długo trwać miała; już bowiem, po niejakim czasie, mignęła niekie-





dy gdzieś jakaś roślina— wypryskująca na piaszczystym tym gruncie, ale więcej jeszcze kazał nam zapomnieć uciążliwej całodziennej podróży— widok napotkanego stada strusiów, w którym, na pierwszy rzut oka, liczbę ich najmniej do 30 sztuk przypuścić można było; tuż niedaleko za stadem tém, pokazało się zaraz i drugie złożone z Quaggas od 80 do 100 sztuk, pomiędzy którymi pokazywały się gdzieś i lekko Antilopami zwane. Nie zdołałam wam opisać tego miłego widoku, jaki nam nastroczyły te olbrzymie ptaki, zwłaszcza— gdy w towarzystwie tak ślicznych Quaggas, z szybkością burzy mimo nas przeleciały. Ja przynajmniej, nieczułem w sobie serca, strzelać do nich, bo mię tak mile zajął ich widok; ale młody arab, towarzyszący nam w tej podróży, mało widać dbając o sam ten widok, więcej myślał o tém, ażeby zabić jedno z tych stworzeń, które teraz rącej pędziły— niż nasze zmordowane rumaki, i żeby odrzucić strusia z pięknych piór jego. Skierował on przeto konia swego na bok z właściwą sobie zręcznością, objechał wzgórze z szybkością, na jaką się mógł zdobyć wierny koń jego; tym sposobem prawie spotkał się z temi stworzeniami na drugiej stronie wzgó-

rza, i wyczerpując ostatnie siły wierzchowca swego, zdołał nakoniec rzeczywiście osiągnąć ostatniego strusia i powalić go, obyczajem swych ziomków, jednem spuszczeniem bolasu. Bolas zaś, jest to broń rzutna, podobna do— może już państwu i znajomego Lasso, tak zwaną bronią rzutną, składającą się z rzemienia długiego na 10—20 stóp, na koniec którego umocowana jest ciężka kula. Myśliwy zwiija ten rzemień po kilkakroć razy, ciska krótki jego koniec po za-głową, a potem— z po za-niej, spuszcza cały rzemień, utrzymując tylko drugą ręką koniec jego bez ciężaru,— na przedmiot ścigany. Kula zwiija się od pędu pocisku do koła szyi lub nóg strusia i obala go na ziemię. Prawda, że koń powinien być tak wyuczony, żeby natychmiast— jak tylko bolas dobrze spadnie na przedmiot celowany, skrzyknął się, i tym sposobem rzemień mocniej naciągnął. Ramie silne, bystry i pewny wzrok, są nieodzownymi rzeczami przy użyciu tej broni, i myśliwiec na strusie powinien przyuczać się od samej młodości, do ciskania tej broni, jeżeli jej ma korzystnie używać. Zręczniej od naszego araba nikt nie mógł władać tą bronią, a lekki biegus jego pomagał mu dzielnie w tych łowach. Puszczenie bolasu w powietrzu,

okręcenie się długiego rzemienia dokoła nóg strusia i upadek olbrzymiego tego ptaka, wszystko to było dziełem jednej chwili. Jak tylko ptak upadł na ziemię, zeskoczył zręczny jeździec z konia, aby zwałonego ptaka zabić i odrzec go z jego najpiękniejszej ozdoby, t. j. z piór w ogonie i skrzydłach. Ile się spodziewać można było, oboje powiodło mu się najlepiej; albowiem rana, którą zadał strusowi, była śmiertelna; pióra zaś ogromne i piękne, błyszczące białością najczystszej śniegu, hojnie nagrodziły łowca za poniesione trudy.

Z natężoną uwagą słuchały dzieci najstarszego dozorca zwierząt, i prosiły go, aby im jeszcze co podobnego opowiedział, co też z uprzejmością przyrzekł ciekawym dziatkom; ojciec zaś, ściskając mu wdzięcznie rękę za gotowość opowiadania dziatkom przygód swoich, przydał: opowiadanie pańskie zajęło mię prawdziwie, zwłaszcza, gdyś wspomniał Quagas, te tak różniące się stworzenia od strusiów, a jednak w ślad za niemi chodzące. Zrobił już tę uwagę i professor Lichtensztein, którą pan teraz potwierdzasz— jako naoczny świadek. Utrzymuje on, że Quagi i Zebry, dla tego idą w ślad za strusiami, że pierwsze: bystrym swym wzrokiem odkrywają

strusiom niebezpieczeństwo i żywność; te zaś, dla tego trzymają się quagów czyli zebrow, ponieważ kał ich zwabia duże żuki, które dla nich są upodobaną karmią.

*Karol.* A jakież to właściwie zwierzęta, owe quagi i zebry? (pręgowce).

*Główny dozorca.* Możecie państwo, oba te zwierzęta w tej oto zagrodzie zobaczyć. Oba należą do rodzaju koni, bo tak— jak i konie, mają tylko po jednym kopycie na nodze.



Dzieci pośpieszyły do wskazanej zagrody i znalazły tam rzeczywiście przywiązaną zebrową, czyli przegowca i quagę. Zebra dość lekkiego składu, ma krótką stojącą grzywę, gęsty ogon; sama jest biała, tylko że wszędzie ma błyszczące, czarno-brunatne pręgi, których jedynie nie widać na brzuchu i na wewnętrznej stronie goleni.

U quagi, wprawdzie grzywa i ogon takiego kształtu jak i u zebry, ale szyję i głowę ma ona ciemnokasztanową, a grzbiet, boki, krzyż i łopatki—kasztanowate; środek zaś ud—bledszy i szaro-czerwony; spód tylko cały i dolne części ud—są białe. Po głowie snują się wązkie, skupione pręgi czerwone—w kształcie wstążek; a po karku i łopatkach—szérokie, czarniawe, gdy wszystkie inne części ciała są bez tych znaków. Grzywę czarną miały obie, tylko że grzywa ta mięsza się białymi pasmami.

Gdy się już dzieci dobrze przypatrzyły tym zwierzętom, zrobił im uwagę główny dozorca przed zwróceniem się ich znowu do strusia, że zebra utrzymuje się szczególnie na górach cyplowych i na wschodnich brzegach Afryki, gdy quaga zamieszkuje tylko południową Afrykę.

„Pierwsze z tych zwierząt”—mówił on dalej: nie daje się ugłaskać i dotąd jeszcze nikt go nie przyuczył ani do pociągu, ani do służby wierzchowej, gdy z quagą—już się to udać miało; wszelako: mówię to tylko o zwierzętach tych, pojmanyh już starami; bo, że młodo pojmana zebra daje się zupełnie ugłaskać, tego właśnie dowodzi ta oto, którą tu widzicie, gdyż na nią, już po kilkakroć razy objeżdżałem cały zwierzynek, a ona przecież się nie kusiła zrzucić mię z siebie. Zarówno zebra, jak i quaga—są w ojczyźnie swojej ręczne, silne, odważne, zdradliwe i trzymają się z sobą wielkimi stadami, a zwłaszcza o quagach powiedzieć to można. Ale oto nakoniec mamy tu jeszcze obok—jedno zajmujące zwierze z tych-że stron co i tamte, a tём jest Gnu (*Yak, bawół albo mruk Tartaryjski*).

*Wilhelm.* O tём zwierzęciu nic jeszcze nie słyszałem.

*Ojciec.* Jest-to największa Antilopa; Antilopy zaś, jak ci już wiadomo, są to mniej lub więcej duże zwierzęta, wysmukłą swą budową spowinowaczone z jeleniami i sarnami; nie mają tylko gałęzistych rogów—jak jeleni, ale zwyczajne. Jest gatunek i takich, które mają po cztery rogi. Niektóre antilopy

mają rogi zupełnie proste, u niektórych zaś— rogi te są wygięte naprzód lub na tył, albo wreszcie, zwinięte ślimakowato. Gnu stanowi już więcej przejście od antilopów do rodzaju wołów i bawołów— jak się o tém przekonamy, przypatrzwszy mu się uważnie. I postać powierzchnowa i ruchy jego, więcej go zbliżają do byka niżeli do antilopy.

*Główny dozorca.* Mięso jego nawet, tak smakiem, jak i z każdego innego względu, bardzo podobne do wołowego,— jakem się sam o tém przekonał. Pomędzy innemi własnościami, dostrzegłem i tej, że zwierzę to, tak jak bawołu albo byka pospolitego, nadzwyczaj rozdrażnia kolor czerwony czyli szkarłatny; i myśmy robili sobie z tego rozrywkę— zbliżając się do tych zwierząt z zawieszoną czerwoną chustką na długiej tyczce. Jak tylko postrzegły to straszycło, wnet rozpoczęły rozmaite, dziwne susy: to biły się po bokach dość długim ogonem, to ryły ziemię kopytem, to, jakby rozjuszone, już miały rzucić się na nas. Wszelako biędne te stworzenia nie śmiały uczynić tego; bo gdyśmy się nabawili ich z żymaniem się i ruchami, a chwycili za strzelby, to odskoczyły co najrychlej, aby w zapewniającej ich od strzału naszego od-

ległości, rozpocząć znowu koziołki i groźby. Ratione, mają być niebezpieczne dla myśliwego, na którego z wściekłością rzucają się; wszelako, mnie samemu nie zdarzyło się ani widzieć, ani doświadczyć cós podobnego, pomimo to, że strzelałem do wielu i w rozmaitym czasie.



Raz się zdarzyło, że młode Gnu mające zaledwo 2 tygodnie, po zabiciu matki jego przez strzelca, samo poszło za nim do jego domu; ja więc zająłem

się szczerze myślą wykarmienia go mléką krowią. Po kilku dniach zwierzątko to już było tak prawie łagodne, jak nasze ciele, i zdawało mi się, że się dobrze wyhoduje, wszakże później nieco stało się chorowitem i zdechło. Mówiono mi wprawdzie kilka przykładów dowodzących, że młode gnu wychowywano razem ze zwierzętami domowemi, że one tak się oswoiły, że regularnie z trzodą wychodziły na paszę i niczem nie zdradzały swęj chęci powrócenia do przyrodzonej swobody. Zaniechano jednak utrzymywania ich— dla osobliwości jedynie— pomiędzy trzodami, ponieważ łatwo ulegają niebezpiecznej zarazie, udzielającej się domowym bydłom. Pomimo to jednak nie bardzobym ufał swojskości gnu równie jak i wołu, bo mają dosyć siły do zadania ciężkich ran potężnemi swemi rogami; ba utrzymują, że zwierzę to ze lwem nawet nie lęka się walki, a niekiedy i zwyciężcą z niej wychodzi. W walce rzuca się ono na kolana nóg przeciwnika i w takiej postawie groźnie spotyka rogami swego przeciwnika. Ale przyszło mi właśnie na myśl spotkanie się moje razu jednego ze lwem. Właśnie tylko cośmy się przebudzili o wczesnym świcie i zabierali się do wystąpienia przeciw nieprzyjacielowi,

gdy rozstawiona straż nasza zaczęła nam ukazywać jakiś przedmiot na kroków 50 od nas odległy. Był to lew dosyć wielki, którego wszakże liczba nasza powstrzymywać zdawała się. Stał on nieruchomie, ziewnął i znowu się położył. Towarzyszący nam afrykanie już się gotowali na przyjęcie go, uznali jednak za rzecz słuszną oczekiwać, aż nim trochę bliżej podejdzie, żeby bezpieczniej do niego strzelać mogli. Wkrótce też powstał znowu, cofnął się o kilka kroków z ponurym rykiem, przyległ powtórnie, popatrzył na nas przez chwil kilka, a potem puścił się w ucieczkę z największą szybkością. Afrykanie utrzymują, że lew, który tak jak i wszystkie zwierzęta kociego rodu, swą zdobycz w locie porywa, póty nie napada na człowieka ani na zwierze, które przed nim nie ucieka, póki się uprzednio nie położy na odległość 10—12 kroków, i nie wymierzy swego skoku, aby niechybnie wpaść na swoją zdobycz. I ztąd to, polujący na lwa wzięli sobie za правило: póty nie strzelać do niego, nim się on nie położy; bo wtenczas, z tak blizkiej mety, śmiało do niego zmierzyć się, i kulę, prosto w łeb, wsadzić mu można. Jeżeli lew nie próbował jeszcze walki z człowiekiem, którego tak łatwo pokonać mo-

że, to wzniosła postawa człowieka napętnia go czcigłowa dla niego, a razem nieufnością we własne siły; i im pewniejszą i śmielszą postawę zachowa człowiek, tém wrażenie to coraz silniej na lwa działa. Największą nieprzezornością byłoby: okazać temu zwierzęciu trwogę swoją jakimkolwiek nierozumnym ruchem, albo go nim wyzwalać do bronienia się. Bo nie zawsze się uda próba — utrzymywania go od siebie w pewnej odległości, a zwłaszcza wtenczas, gdy już — choć raz tylko — pokonał człowieka. Potrzeba też nie małej odwagi, aby śmiało występować przeciw tak drapieżnemu zwierzęciu; potrzeba mowić: nieustraszonego charakteru, który napotkać się daje tylko u ludzi, co się przez długie myśliwskie życie zahartowali, do widoku zwierzęcia tego przyzwyczaili, i z jego zwyczajami dokładnie się oznajomili. Ale, państwo moi! nie chcę was dłużej zatrzymywać; zegar właśnie tylko co wybił 12-tą godzinę, a to zapewne i dla was pora obiadowa; przytém, spodziewam się, że was tu może i niebawem znowu zobaczę; a więc — bywajcie mi zdrowi! Wszakże, chwilka jeszcze! Nim wyjdziecie z ogrodu, udajcie się z łaski swojej tą oto stroną, a traficie tam na jedną jeszcze ptaszarnię, w której mieszczą się

inne gatunki ptaków z rodzaju strusia, a do którejby już wam, przy powtórnem zwiedzaniu zwierzyńca, gdybyście przeciwną stronę jego obejrzeć chcieli, było trochę za daleko. Bywajcie mi zdrowi! Żegnaj was serdecznie!

Idąc za radą poczciwego dozorca zwierząt, rodzina nasza napotkała niebawem nową ptaszarnię, rozdzieloną na trzy części kratami drucianymi. W jednej z nich znajdowały się strusie amerykańskie, w drugiej — Nowo-Hollandskie, a w trzeciej, Wschodnio-Indyjskie Kazuary. Rodzina przypatrywała się im z wielką uwagą, a dziwiąc się: to prześlicznemu błękitowi i jasnemu pąsowi na obnażonych częściach głowy i szyi Nowo-Hollandskiego kazuara, porównywała wszystkie trzy gatunki i zauważyła, że struś afrykański odróżnia się od innych dwoma palcami, amerykański trzema, a nowo-hollandski jakotóż i wschodnio-indyjski — skórą nagą, mniej więcej błękitną, lub czerwoną różni się od amerykańskiego. Gdy się mu dzieci już dokładnie przypatrzyły, ojciec, stojąc jeszcze z niemi przy ptaszarni, opisywał im te ogromne, zajmujące ptaki w sposób następujący:

*Ojciec.* Kazuar wschodnio-indyjski ma wysokości od nóg do głowy 6 stóp; dziób jego z boku za-

ciśnięty; na głowie zaś znajduje się wyrost kościowy— prawie na trzy cale wzniosły, ociągnięty błoną rogową. Na głowie i na wierzchu szyi, skóra jego zupełnie jest naga, prześlicznie błękitna i pąsowa, ze zwisającymi gruzłami albo mięsistymi płachtami, tak jak u indyka. Skrzydła składają się z samych tylko zteżalych słupców czyli piór rurkowatych, których jest po 5 w każdym skrzydle, a z nich środkowe jest najdłuższe. Ogon, składa tak jak i u strusia, mnóstwo zwisających, tylko węższych piór, których długość dochodzi do 14 cali. W stosunku do całości, nogi Kazuara nie są długie i tylko do kolan porośłe piérzem. Na nogach ma po 3 palce uzbrojone szponami, a szpony na wewnętrznych palcach— są najdłuższe. Brunatnawo-czarne, szczycinowate piérze okrywa całe ciało jego; nogi i szpony— są czarne. U młodych niema przyłbicy, a miejsce jój przesłania biała skóra. Kolor piór u młodych jest jasno-rdzawy, pomieszany z szarym. Kazuar zamieszkuje wschodnią część południowej Azji, wyspy Moluckie, wyspy Jawę, Sumatrę, a szczególnie: ciemne lasy wyspy Ceram; zresztą, nigdzie go w gromadach nie spotykamy. Chociaż, w stosunku do strusia, ptak ten ma więcej ciała, może

on jednak biegać z równą szybkością— jak i struś. Głos jego prawie taki— jak kurczęcia, ale gdy ptak ten rozdrażniony, wówczas głos jego bardzo podobny do krzäkania świni. Do obrony służą mu bądź dziób, bądź nogi, któremi i wprzód i w tył wybijają; używa też, jako oręża— i skrzydeł swoich, które można porównać z kolcami zwierząt jéżowatych.

Zmysł smaku zdaje się w nim być równie niewykształcony jak i u strusia; z kąd też pochodzi, iż oprócz zwyczajnego swego pokarmu, składającego się z owoców drzew, korzeni, robaków i jaj, połyka kamienie, kawałki kruszcu i t. p.

Kazuar utrzymywany w paryżkiej menażeryi, połykał codziennie pół czwarta funta chleba, 6—7 jabłek, koszyk pełen rzepy i wypijał latem do 4 garnicy wody, a zimą pił jój trochę więcej. W folwarkach przechowujących drób, przełyka czasami młode kurczęta i kaczęta. Na pustyni wyszukuje opadłych owoców i wygrzebuje nogami lub wyrывa z ziemi dziobem rozmaite gatunki korzeni. Polowanie na stare kazuary jest zatrudne i ledwie najraższe psy dopędzić ich mogą. O ile trudno łowić je, o tyle też trudno i ugłaskać; tylko bardzo młodo pojmane, łatwo się oswajają z człowiekiem. Samka

znosi 3—4 jaj, składa je w piasku, wygrzewa, ale też często opuszcza je podczas wysiadywania, ponieważ światło słoneczne, samo przez się jaja te wygrzewa. Jaja kazuara są jasno-zielone, a samka często je znosi— nawet i w menażeryi.

Mięso młodych tylko jest smaczne; starych zaś czarne i twarde.

Po raz pierwszy w 1597 r. przywieziono do Europy Kazuara z Indyi wschodnich; dziś już można go widywać często po menażeryach; częściej wszakże dają się tam widzieć kazuary Nowo-Hollandskie.

Kazuara Nowo-Hollandskiego nazywają też czasami tak jak i pospolitego, czyli Wschodnio-Indyjskiego mianem Emu; gdyż kazuar (*casuvaris*) jest to nazwa Malajska, służąca ptakom tego gatunku; *Emu* zaś (*Eme, Emeu*) jest to ich nazwa w Bandea. Wielu nazywają go także strusiem z Nowej-Hollandyi.

Wysokość tego ptaka wynosi do 6 stóp. Dziób jego z wierzchu spłaszczony, a na głowie niema takiej ozdoby w kształcie hełmu, jak ją mają Wschodnio-Indyjskie kazuary; ba nawet głowa i szyja jego, całkiem prawie porośnięte są piórzem. Samka tylko około uszu, samiec zaś ma i tu i na bokach szyi łyse, błękitne miejsca. Nogi niezbyt są długie; gru-



be zaś i tępę pazury są zazwyczaj czarne. Pióra są więcj strzępiaste i bardziej miękkie jak u kazuara Wschodnio-Indyjskiego, wszakże podobnie wyrasta ich po dwa z jednego pnia. Pióra te są bardzo gęste i zwisają długo po piersi, bokach i kuprze. Ogona niema zupełnie, a zamiast skrzydeł ma tylko małe zwisające płachty w kształcie skrzydeł, które wszakże nie są lotne; dziób jego mało zakrzywiony; ptaki więcj te mogą tak, jak i wszystkie inne z rodzaju stru-



siów—biegać; lecz bieg ich tak rączy, że ich zaledwo najdzielniejsze psy gończe doścignąć mogą. Pióra na szyi i na piersi—są rude; reszta zaś piór jest ciemno-brunatnego koloru. Młode, są białe z żółto-brunatnemi centkami. Kazuary Nowej-Hollandyi trzymają się małemi stadami, prawie po całym tym kraju, a żywią się liściem, jagodami, owocami i t. d.

Samka znosi 6—7 jaj koloru szmaragdowego, które wielkością dochodzą prawie strusich; jaja te, samica wygrzewa.

Z pozoru i smaku mięso kazuara podobne jest do wołowego; mięso zaś młodych ma być nadzwyczaj delikatne. W pewnym czasie nowo-hollandskie kazuary oblane są do koła kadłuba ogromnemi bryłami tłuszczu, który wytapiają i bardzo drogo sprzedają. Z twardej łuski jaj robią naczynia do picia; żółtka zaś i białka używają do wybornych piérogów, zwanych jajecznikami.

W czasie wygrzewania tych jaj, krajowcy, prawie niemi tylko żyją, i ztąd-to liczba tych ptaków coraz się zmniejsza.

Struś nakoniec amerykański, którego téż zowią *Churi* i *Nauda*, a nawet fałszywie *Emeu*, dochodzi

najwięcej 6 stóp wysokości. Pióra jego są brudno-szare, na grzbiecie brunatne, a u samca, jeszcze i wzdłuż grzbietu idzie czarna pręga. Ogonia niema on prawie zupełnie, bo pióra w tym ogonie są bardzo wąskie i wątle; lotki zaś bez porównania mniej pozorne—jak u strusia afrykańskiego. Żyje on w południowej Ameryce, najwięcej na rozległych i otwartych równinach Buenos Ayres, t. j. w jednym ze stanów zjednoczonych południowej Ameryki. Całemi stadami dają się one tam napotykać, a gdzie na nich nie polują, tam zbliża się on do mieszkań ludzkich i nie ucieka przed człowiekiem idącym pieszo, a tylko—przed jadącym na koniu; tam zaś, gdzie na niego polują, staje się bardzo lęklwym. Strusie amerykańskie są równie szybkie i przepływają bardzo dobrze rzeki i jeziora. Zabijają je częścią strzałami z łuków, częścią z ognistej broni, częścią nakoniec wyłowiają je arkanem—zwanym *Lasso*. Mięsa młodych, krajowcy używają na pokarm, lotek na łapki do bicia much, do ozdoby siodeł, jakotéż i na miotły. Używają téż ich jeszcze wielorakim sposobem; skóry zaś przerabiają na czapki i woreczki. Po kilka samek razem składają jaja swoje żółtawego koloru—do jam przez się wygrzebanych w pia-

sku, a samiec, zapewne naprzemian z samką, ma je wysiadywać.

I amerykańskie strusie dają się ugłaskać; następnie zatém utrzymują je po domach, gdzie biegają po pokojach lub chodzą po ulicach, zaglądając ciekawie do domów, aby się dowiedzieć, co się téż tam dzieje. Niekiedy wybiegają za obręb zagrody, ale zawsze wracają do domu. Ponieważ smacznych ich jaj ludzie usilnie szukają, a równie gorliwie polują i na same te ptaki, przeto liczba ich coraz się zmniejsza.

W czasie tego opowiadania zbliżył się przetożony nad zwierzyniec, i przerywając panu Majnau oświadczył: że nadchodzi godzina, w której zazwyczaj zamykają zwierzyniec dla gości. Wiadomość ta nie bardzo była do smaku towarzystwu naszemu, bo tyle jeszcze zostawało tu do obejrzenia; tyle się tu można było ciekawych rzeczy dowiedzieć, że dzieci zasępiły się widocznie na myśl opuszczenia zwierzynca.

Ale i tego wypadku potrafił P. Majnau użyć na dobre, bo właśnie wyłożył dzieciom obowiązek ulegania prawidłom ustanowionego porządku, i tak się

urządził, aby pozostających im tutaj chwil kilku, nim oznaczona godzina uderzy, napróżno nie strwonić.

„Poświęcając całość tylko części,” mówił dalej: zatrzymaliśmy się dłużej przy niektórych przedmiotach, niż nam pozwalał na to nasz czas ograniczony. Teraz więc tyle nam tylko jego zostaje, że możemy jeszcze obejść ogród i choć rzucić okiem na zawarte w nim bogactwa. Drogą do domu i na miejscu pomówimy obszerniej o tém, co teraz zobaczymy; a gdy na wszystko pilnie uważać będziecie, to i te zwierzęta żywo wam staną w pamięci, chociaż już będą daleko za nami. A wreszcie, jeżeli się przekonam, żeście z dzisiejszej podróży korzyść odniosły, i gdy będę was widział wciąż dobrémi dziećmi, to i poraz drugi— kiedyś tu jeszcze przyjedziem.

Lżej się dzieciom zrobiło na sercu, gdy usłyszały to przyrzeczenie z ust ojca, który je teraz, temi częściami ogrodu tak umiejętnie prowadził, iż mogły obejrzeć to wszystko, czego jeszcze dotąd nie widziały. Jakaż tu ilość pięknych i rzadkich zwierząt postrzegły, o których mogły usłyszeć od ojca naucające i pełne zajęcia opowiadanie. Tu bowiem był lew majestatyczny, okrutna hyena, okazały tygrys,

strokaty lampart; a pocieszne małpy, krzątające się blisko wielbłądów, przedstawiały obraz, godzien pędzla znakomitego malarza.

Wiele też uwag czyniły tu dziatki, zadając ojcu mnóstwo pytań, który nareszcie musiał im przypomnieć, że czas nagli, i jedynie obietnicą, że im w drodze do domu na wszystkie pytania odpowiadać będzie, skłonił dzieci do rozstania się z temi ślicznymi gromadami zwierząt, do opuszczenia zwierzyńca i ogrodu.

W powrocie z ogrodu do domu, wypadło rodzinie naszej przechodzić jeszcze mimo Kondora, o którym uprzednio, z powodu strusia, zupełnie prawie zapomniana; obejrzeni go przeto raz jeszcze, dziwią się jego wielkości, (bo był prawie na 4 stopy wysoki); jego gołej, czerwonej szyi i głowie (u samca tylko) z mięsistym grzebieniem, ozdobionej białym puchowym jedwabistym kołnierzem, który Augusta słusznie porównywała z kołnierzykiem z puchu łabędziego, używanym przez nią w zimie dla otulenia szyi. Piérze odziewające kondora w ogólności—sinioczarne, a skrzydła pośrodku są białe. Osada nóg jego jest bardzo mocna, a szpony są silne i długie. U samca tylko dają się widzieć pod gardłem

dwa mięsiste wiszące, jak u kur płatki. Przypatrzwszy się raz jeszcze temu zajmującemu ptakowi, należącemu do rodzaju sępów, wyszli z ogrodu; lecz nim doszli do domu, ojciec tak opowiadał im o tym ptaku:



Kondor żyje w Ameryce południowej na łańcuchu olbrzymich gór And, najczęściej na samym ich szczycie, gdzie, ani zwierzę żyć, ani roślina ro-

snąć nie może. Tam on najczęściej czepia się po nagich cyplach skał, w bliskości granicy wiecznych śniegów; tam, rozwijając potężne skrzydła, często się wznosi do wierzchołka Kymborassa— prawie o sześć razy wyżej niż chmury przeciągające nad głowami naszemi.

Dawniej przesadzano zbyt wielkość tego ptaka; temu jednak dziwić się nie należy: bo gdy wyobrazimy sobie na tej ogromnej wysokości, nad sobą— tylko błękit niebios, przed sobą— białe czołło gór olbrzymich, a dokoła siebie— straszliwą ciżbę— jakby świat wymarł, a my jakbyśmy sami tylko na tę pustynię wygnani zostali: to snadnie pojmujemy, że żywa wyobraźnia łatwo nasunie nam czarodziejskie obrazy, które zaledwo w powiastkach o świecie zaczarowanym jeszczeby znaleźć można. Gdy przeto wśród takich okoliczności, przedstawimy sobie kondora zrywającego się nagle do lotu ze skrzydłami rozpostartemi na 14 stóp w szerz; gdy wspomnimy, że on tu, prócz nas, jest jedyną żyjącą istotą; a więc, że wielkości jego z żadnym innem stworzeniem porównywać w tej chwili nie możemy; przydawszy do tego przestrach, rodzący się niechybnie na widok takiego ptaka: to się i dziwić nie będziecie, że

ogrom jego tak bardzo przesadzano; w takich bowiem okolicznościach pospolicie bywamy usposobieni, wszystko widzieć zwiększonem i okropniejszem, niż ono jest w rzeczywistości.

Kondor nie jest tak gnuśny, jak sępy, ba nawet odznacza się odwagą i potężną siłą. Samotnie przeziaduje on na najwyższych gór szczytach; lecz zgłodniały, dostrzegłszy bystrym wzrokiem łup dla siebie, pędem strzały spuszcza się z góry. Często-kroć też wznosi się do wysokości zdumiewającej wzrok nasz, aby przejrzeć—jednym rzutem oka ład rozległy, na którym zdobyczy dla siebie upatruje. A gdy ją tylko dójrzy: spuszcza się na nią piorunem, i, biada tej istocie, co się mu żywcem w szpony dostanie! Owce nawet zabija. We dwóch pokonywają nie tylko jelenia gór And, lamę lub muła, lecz nawet i większe zwierzęta, zwłaszcza, gdy te są znurzone skwarnym upałem słonecznym. W walce jest on bardzo wytrzymały i przedewszystkiem wydzięra oczy swojej ofiarze; potem, dziobem i szponami zadaje jej raz po raz rany najokropniejsze, dopóki biędne to stworzenie na ziemię nie padnie. Nie-szczęсна ofiara, rycząc z boju przeraźliwie, spragniona, wyciąga język, który, zbójca wnet na przy-

smak dla siebie wrywa; bo z jaką zajadłością wydziera oczy nieszczęsnej istocie— co się mu w szpony dostała, z taką też łapczywością wrywa jej i język. Poczem dopiero biedna ofiara jego wyzięwa ducha wpośród najokropniejszych męczarni. To tylko szczęście, że żywe zwierzęta nie stanowią głównego pożywienia Kondora; zdaje się nawet— że ściérwo przenosi nad nie. Dla ludzi niema on być strasznym, gdy ci tylko nie wyzwą go do boju. Sławny badacz natury Aleksander Humboldt, mieszkający teraz w Berlinie, bawiąc w południowej Ameryce, widział się nieraz podczas owych przechadzek otoczonym od Kondorów, gromadzących się zazwyczaj stadkiem od 3-ch do 4-ch sztuk. Podchodził on do nich na dość bliską przestrzeń, a Kondory nie okazywały ani trwogi, ani chęci do napadania na niego. Tak jak i wszystkie sępy, przesiaduje syty kondor beczynnem na wierzchołku skały z posepném wejrzeniem, i wówczas można go pędzić przed sobą, a on nie będzie wcale zbierać się do lotu.

Jaja swoje ma on składać na nagiej skale; na równinie zaś znosi je chętniej jeszcze na gołej ziemi. Jaja te są koloru białego, a mają 3—4 cali

długości. Samka nie odstępowała młodych przez rok cały.

Trudno wierzyć temu, co powiadają o sile żywotnej czyli o wytrzymałości kondora. Świadkiem tego był Aleksander Humboldt w Riobambo. Indyjanie złowiwszy Kondora, zaczęli go najprzód dusić powrozami; potem powiesili go na drzewie i przez kilka minut nielitościwie targali wiszącego— za nogi; ale zaledwo mu zdjęli z szyi powrozy, a wnet zaczął się przechadzać swobodnie, jakby się z nim nic złego przed chwilą nie działo. Następnie: zaraz strzelano do niego potrzykoc z pistoletu kulami o 4 kroki. Wszystkie trzy strzały trafiły, raniąc go niebezpiecznie w brzuch, w piersi i szyję; pomimo to jednak trzymał się kondor na nogach dopóty, nim nowy strzał w dziób go nie ranił, od którego nakoniec— ptak biedny padł na ziemię. Śmierć jego wszelako nastąpiła zaledwo po upłynieniu dobrej pół godziny i to od licznych ran, które poniósł uprzednio.

*Augusta.* Czyż nie można było prędzej zabić biedne to stworzenie?

*Ojciec.* Dla czegoż nie? Ale dzicy ludzie znajdują w tém upodobanie, w sposób najokrutniejszy dręczyć zwierzęta, które im szkodę czyniły, i mścić

się niby wzajemnie za krzywdy sobie wyrządzone. Lecz gdy każda zemsta jest naganną— jako wynik okrutnego umysłu, tém bardziej haniebną jest ona nad nierozumném stworzeniem. Przeznaczeniem tych zwierząt jest, napadać na inne, i używać ich na pokarm dla siebie. O słuszności i niesprawiedliwości bezrozumne to zwierze niema najmniejszego pojęcia, a przemoc nad niém człowieka jest tak wielka, że zarówno głupią, jak i gnuśną rzeczą nazwać należy— chęć mszczenia się nad niém. Zemsta taka jest barbarzyństwem poniżającym człowieka do rzędu bezrozumnych zwierząt.

Że kule, z powodu tęgości piór odziewających kondora z trudnością dostają się do ciała jego, przeto też najczęściej łowią go żywcem w sidło, do którego gdy wpadnie, łatwo go zabić jakąkolwiek bronią wynalezioną przez człowieka. Na przynętę kładą mu zdechłego konia lub wołu. W krótkim czasie zwabia go zapach téj przynęty, bo powonienie ma bardzo delikatne. Ptak ten zaczyna zawsze od ulubionych sobie oczu i języka swojej ofiary, a potem dopiero przystępuje do ćwiartowania jęj, dobiierając się najprzód do wnętrzości. Gdy więc napecha sobie żołądek do tego stopnia, że zaraz staje się i o-

ciężałym, to Indyanie zaczynają go ścigać swemi petłami. Kondor usiłuje podnieść się na powietrzu, czego jednak wtedy tylko dokazać może, gdy się porządnie zwomituje. Polowanie na kondora sprawia wieśniakom równie przyjemną uciechę, jak i polowanie na byka. Aby ułatwić sobie te łowy, mieszkańcy kładą częstokroć jadowite zioła do wnętrzości zwierzęcia wyrzuconego na przynętę, wszakże i bez tych środków, można go często, a nawet bez wielkich trudności łowić w sidła, a jeszcze łatwiej: robiąc czworo-boczną wysoką zagrodę z desek, która nie powinna się z góry pokrywać, a mieć tyle tylko wewnętrznego obwodu, żeby ptak ten mógł w niej siedzieć, a nie chodzić. W téj zagrodzie kładnie się przynęta, a że ptak ten, zabiérajac się do lotu, potrzebuje przebieść kroków parę, nie może przeto, wpadłszy raz do zagrody, znowu się z niéj wydobyć, zwłaszcza nażarłszy się do przesytu, lub będąc odurzony zatrutém mięsem. Wtedy już bardzo łatwo— złowić go petlą. W niewoli, bywa on z początku zazwyczaj lękliwy i smutny, lecz zaraz potem wpada w złość; staranném jednak pielęgowaniem daje się nakoniec do pewnego stopnia ugłaskać.

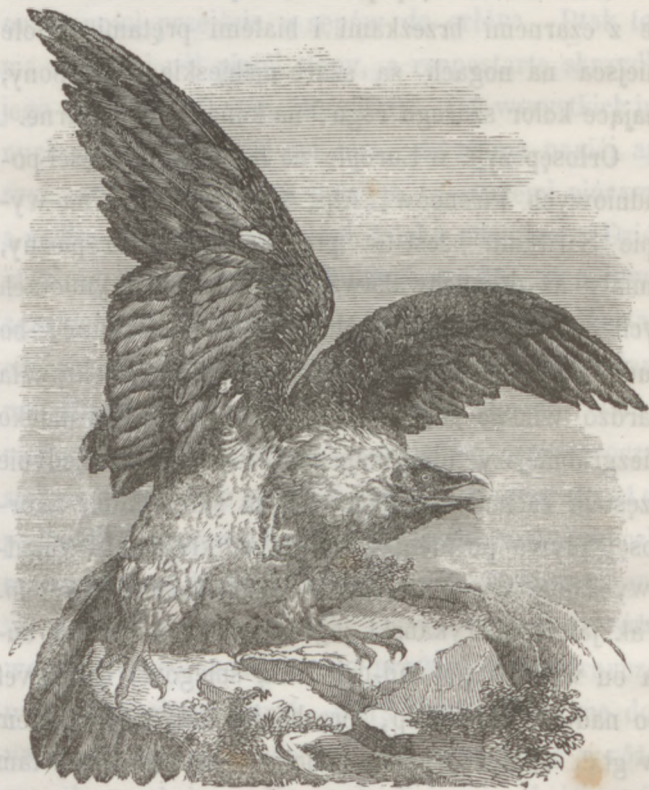
„I w Europie téż,” mówił ojciec dalej, mamy pta-

ka z gatunku sępów, który wielkością i siłą nie wiele ustępuje kondorowi; ptakiem tym jest brodosęp, którego właściwie orłosepem zowią, a to dla tego, że on stanowi przejście z sępów do orłów. Ptak ten ma długości pół piątej stopy, a rozpostarte skrzydła jego wynoszą 10 stóp (długości). Od wszystkich innych sępów różni się on tem, że niema nagiej ani szyi, ani głowy, bo te pokryte są gęstymi piórami, a nadto— że ma dziób i nogi daleko silniejsze. Dziób idzie od głowy w kierunku linii prostej, w połowie zgarbiony, a ku końcowi— zagięty na dół w kształcie zakrzywionego haczka. Nazwę brodosępa dano mu dla tego, że pod dziobem ma długie, czarne, sztywne szczecinki, które zaczynając się na przezroczystej cienkiej skórcie spodniej szczęki i ciągnąc się aż do podbródka, stanowią brodę. Wierzch głowy i policzki ma on żółtawo-białe. Od dzioba po nad okiem ciągnie się czarna pręga. Gardło i szyja są koloru różowo-rdzawego, wpadającego prawie w pomarańczowy. Tył głowy i szyi, pierś i wszystkie inne dolne części są mniej-więcej białe, wpadające w różowo-rdzawy kolor. Na gardzieli i wierzchniej części piersi widzieć się dają czarne smugi lub plamy, a pióra na grzbiecie są połyskujące, brunatno-czarne

z białymi prętami i żółtawo-białym punktem u wierzchołka. Lotki brunatne wpadają poniekąd w szarość, środkowe są popielate, a po bokach brunatne z czarnymi brzeżkami i białymi prętami. Gołe miejsca na nogach są szaro-niebieskie, a szpony, mające kolor szarego rogu, na końcu— są czarne.

Orłosep żyje w Europie na najwyższej części południowych Pireneów, Alp, gór greckich i na wyspie Sardynii. Jest-to ptak okropnie drapieżny, śmiały aż do zuchwalstwa, a nawet w przymiotach tych orła przechodzi. Może on dzielnie latać, bo budowa jego jest lekka, a ogon szeroki, skrzydła bardzo wielkie i nogi krótkie. Gdy orzeł, daleko niezgrabniejszy utrzymuje się w powietrzu jedynie częstym robieniem małemi swemi skrzydłami, to orłosep pływa po niem w potężnych kręgach, i w nadzwyczajnej wysokości prawie nie robiąc skrzydłem. Tak jak i amerykański jego pokrewny kondor, buja on wysoko po nad-dziedziną śniegów, ba nawet po nad-szczytem Alp, przebijając iskrzącem okiem w głąb skał, rozpadlin i dolin: czy nie dójrzy tam rodziny bobaków, sarny, owcy, lub jakiegokolwiek innego stworzenia, a gdy je zoczy, lotem wartkiej strzały, krając z szumem powietrze, spada na łup

swój, którego najpośpieszniejsza ucieczka ocalić już nie jest w stanie. Stojącą nad brzegiem przepaści



sarnę chwyta nagle i ogłuszając ją szumem skrzydeł, zrzuca do bezdennj głąbi, gdzie już bez wszel-

kiej przeszkody rozdziéra ją i pożera. W powietrze może on unosić z sobą mniejsze tylko stworzenia, jak naprzykład, bobaki, lisy, jagnięta, młodzietki sarny, psy i t. p.; bo tępe jego szpony— nie bardzo zakrzywione, niezbyt głęboko w większe ciężary zapuszczac się mogą. Zuchwalstwo jego wszakże tak jest szalone, że się nawet rzuca i na większe zwierzęta, które wtenczas tylko pokonać może, gdy mu się uda zepchnąć je do przepaści. Aby tego dopiąć, rzuca się na upatrzoną zdobycz, pędzi ją, bijąc potężnemi swemi skrzydłami, przed sobą dopóty, póki ta, pozbawiona możności uciekania, nie ujrzy się zmuszoną— skoczyć do przepaści. Na ludzi nawet napada on niekiedy w ten sposób.

Podróżując po Szwajcaryi, sam przekonałem się o tém. Towarzyszyłem raz polującemu na sarny, a gdyśmy się dostali na szczyt niebotycznj skały, ja stanąłem zachwycony czarownym widokiem najpiękniejszej okolicy; w tém ujął mię towarzysz za rękę, ukazując mi punkt jakiś nieco poniżej leżący. Przerażony tym widokiem wstecz się cofnąłem; rzucawszy bowiem okiem w ową stronę, którą mi śmiały myśliwiec ukazał, postrzegłem pastuszka śpiącego na urwisku skały. Już i ten widok był dosta-



teczny, aby mię przejąć najokropniejszą trwogą: pastuszek bowiem za najmniejszym poruszeniem się, mógł runąć w przepaść; ale przerażenie moje jeszcze się więcej wzmogło, gdy ujrzałem orłosępa olbrzymiej wielkości, który blisko niego się spuścił. W tej chwili życie chłopczyka tego było podwójnie zagrożone.

Myśliwiec zaleciwszy mi największą ciszę, chwycił się śmiałego pomysłu, i zdjął z pośpiechem gwintówkę z ramienia.

Właśnie ptak ten ogromny podniosłszy skrzydła rozbiegał się w celu rzucenia się na swoją zdobycz i zepchnięcia jej silnym biciem skrzydeł do głębi przepaści, gdy dzielny strzelec zmierzwszy, ugodził go kulą z wierną swoją gwintówką— i ptak raniony upadł na ziemię.

Był to krok nadzwyczaj śmiały: łatwo bowiem mógł chłopak przestraszony hukem strzału, potoczyć się w przepaść, albo też i kula, mijając wroga, mogła ugodzić niewinne pachołę. Wszelako, rzecz jasna: mądra opatrność Boska nie dozwoliła na pierwsze, a drugiego wypadku nie lękał się śmiały łowiec, będąc pewnym strzału swojego.

Przestraszony hukem strzelby zerwał się chło-

pak i postrzegł obok siebie leżącego ptaka, wyziewającego konwulsyjnie ostatnie tchnienie. Biedne pachołę niewiedziało samo, czy to we śnie— czy na jawie, i przecierając sobie oczy, spoglądało to na ptaka to na przepaść— jak grób głęboki przed nim rozwartą. Usłyszawszy nakoniec przyjazne nasze wołanie go, spójrzył ku nam, i teraz dopiero poznał wyraźnie niebezpieczeństwo, w którym się przed chwilą znajdował, a razem pojął dokładnie, żeśmy go ocalili. Z wdzięcznością wyciągał on ku nam ramiona, dawał nam znakami poznać radość swoją, a potem— rzucił się na kolana. Z oczu jego ku niebu wzniesionych, z rąk złożonych do modlitwy widzieliśmy— jak gorąco dziękował Bogu za ocalenie swoje.

O! była to scena nadzwyczaj tkliwa! Łzy mi się z oczu puściły; surowy nawet strzelec Alpejski uroił łzę czułości. Spuściliśmy się potem do chłopczyka, a ledwośmy przy nim stanęli: on rzucił się w nasze objęcia z potokiem łez gorących na twarzy.

Nie przyjąłem podziękowań jego należących się wyłącznie szlachetnemu towarzyszkowi memu, który uprzejmie tuląc do serca chłopczynę, wymawiał mu

razem łagodnie nieostróżność, którą mógł życiem opłacić.

„O, jakże wam podziękuję? Czém zawdzięczę kiedykolwiek wasz czyn szlachetny!” wołało pacholę. „I cóżby poczęła biedna matka moja w samotnej swój chatce, gdybym ja do niej nie wrócił? Wszak ja jestem jej jedyną podporą; ja sam tylko utrzymuję tę biedną, dobrą matkę. Właśnie zamierzalem pośpieszyć do niej— aby jej zanieść mój tygodniowy zarobek, ale do niej daleko! Wysiliłem się i zmordowany, upadłem tam, a pewnie byłbym zginął od orłosepa, gdyby mi Bóg was był nie zesłał.”

Tknięty tą prostą mową dobrego syna, wcisnął mu do ręki kilka złotych; poczem, on uradowany pośpieszył do matki, a my puściliśmy się dalej na łowy.

Z uwagą przysłuchiwały się dziatki opowiadaniu temu. Trwogą przenikało je niebezpieczne położenie chłopca; z radością dowiedziały się o dziwném ocaleniu jego; i ojcu kosztowało to nie mało, nim nie zaspokoił wszystkich ich pytań. Pomiędzy innemi wtrącił też Wilhelm i to: czy to prawda, że orłosep porywa i unosi z sobą małe dzieci?

„Tak rzeczywiście utrzymywano,” rzekł ojciec; a nawet podobne zdarzenie jest zapisane w kościelnych księgach gminy Habchern; wszelako rzecz ta wydaje mi się być dosyć wątpliwą z tego względu, że własność szponów tego ptaka prawie mu nie pozwala unieść dziecko w powietrze, chyba by to dziecko było zupełnie maleńkie. Wnioski więc te mogły ztąd pochodzić, że orłosepa brano za orła Łomignata, a których obu w Szwajcaryi nazywają skalnemi albo złotemi orłami.

*Augusta.* Kochany ojcze, opowiedz nam o porywaniu dzieci, bo czy to był orłosep czyli też Łomignat: zawsze to jednak ciekawa historia.

*Ojciec.* Historję tę opowiadano mi tak: Annę Zurbach z Kantonu Obern, urodzoną 1760 r. wzięli z sobą rodzice, w trzecim roku jej życia, na łąki, gdzie gromadzili siano. Dziecko to położyło się nie daleko od nich przy stodole i wkrótce zasnęło. Ojciec, osłoniwszy mu twarzyczkę kapeluszem słomianym, poszedł do roboty. Gdy po jakimś czasie, obciążony wiązką nagromadzonego siana powrócił, nie znalazł już dziecka. Stroskani rodzice i wszyscy mieszkańcy tej doliny szukali go napróżno. Tymczasem Henryk Michel z Unterzeen, idąc dziką ścież-

ką ku rzeczulce zwanéj Wäppis, usłyszał ze zdumieniem krzyk dziecięcia. Na głos ten idąc, przyspieszył kroku, a w tém porwał się spłoszony przez niego orłosep z małego pagórka, i zaczął się unosić po nad-ciemną przepaścią. Na brzegu téj przepaści, w głębi której huczał spieniony potok, dokąd najmniejsze poruszenie mogło potraćić dziecinę: znalazł Michel Annę Zurbach ze zranioném lewém ramieniem i rączką, za którą ją pewnie orłosep był schwycił. Trzewiczków, ponczoszek i czapeczki nie miało na sobie; wszystko to pogubić musiało. Wzgórze, na którym znaleziono to dziecko, znajdowało się od stodoły, przy której zasnęło, nie więcej jak o 1,400 kroków. Od téj pory nazwano małą Annę—Anusią orłosepią. Gdy Anna wyrosła, rodzice wydali ją za krawca z Gewaltswyl, gdzie ona jeszcze do 1814 r. żyć miała.

Ponieważ mamy jeszcze spory kawał drogi do gospody naszej, przeto wam jeszcze powiem o orłach. Orły, a mianowicie łomignaty, tuż po orłosepach, są to najodważniejsze drapieżne ptaki; a ponieważ mają szlachetną postawę, przeto już starożytni nazwali ich mianem króla ptaków. Mają one głowę wielką, z wiérzchu płaską; oczy dość duże—



głęboko osadzone, a dziób potężny od pnia samego jest mniej-więcej prosty; koniec zaś jego— bardzo ostry, spiczastym hakiem na dół zakrzywiony. Skrzydła ma on dość długie z pierwszemi— także długimi lotkami, które ku końcowi szablowato są zagięte. Ogon jego jest długi, mniej-więcej popiętrzony, a silne, krzywe i ostre szpony pod spodem są dwukrawędziowe. Poznają ich nadto po kończących piórach na grzbiecie.

Łomignat zwyczajny, gdy się już zupełnie opierzy, jest ciemno-brunatnego koloru i ma rdzawo-brunatne pióra na grzbiecie. Piérze też spodnie, t. j. długie piérze na udach, równie jest rdzawo-brunatne, albo jasno-brunatne. Biały, zaokrąglony ogón kończy się czarną przepaską szeroką, a na starość dostaje on jeszcze wąskich przepasek z białą obwódką. Dziób jest koloru rogu siniowatego, zakończony haczyko na dół, a ma długości pół trzecia cala. Nogi i woskówka są złotawe.

Orzeł ten znajduje się prawie w całej Europie; odznacza się on szlachetną postawą, jest płochliwy, ostrożny, a gdzie potrzeba— i mężny. Drapieżnie rzuca się on na wszystkie, nie zbyt wielkie, żywe ssące zwierzęta i ptaki. Zdobywszy swoją porywa

szponami i niesie ją w nich do swych piskląt. Świadomy swój siły, napada częstokroć nawet na zwierzęta przechodzące go wielkością i siłą. Że małe dzieci częstokroć unosił z sobą w powietrze, stwierdzają to mnogie przykłady. I tak np. na wyspach Orknej porwał raz orzeł dziecię od roku, które matka, obwinawszy jakąś odzieżką, na ziemi położyła, zająwszy się sama zbieraniem drzewa. Orzeł, zoczywszy dziecko, uniósł je na odległość jednej godziny. Gdy ludzie dowiedzieli się z krzyków rozpacz i jęków bóleści nieszczęsnej matki o tój przygodzie, to czterech z nich puściło się łódką ku tój stronie, w której, jak im było wiadomo, znajdowało się gniazdo orle, i rzeczywiście znaleźli w niem dziecię, szczęściem—jeszcze zupełnie nie tknięte.

W jednej téż ze szwajcarskich wiosek—blisko miasta Kur, było podobne zdarzenie: dwóletnie dziecię bawiło się przed domem; w tém orzeł przyleciał, porwał je i uniósł z sobą. Na krzyk dziecięcia przybiegający ojciec, puszcza się za orłem do bliżkiej skały i wdziera się na nią, aby mu odebrać zdobycz jego. Ale biedne dziecię tak było poranione, że wkrótce umarło. Oczy zwłaszcza okropnie miało pokaléczone. Orła nie mógł pojmać biedny oj-

ciec, ale zagniewany na zabójcę dziecka swego, ciągle czyhał na niego, snując się nieustannie około gniazda jego; wszakże wałęsał się on długo bezskutecznie. Nakoniec ptak ten wpada w łapkę zastawioną na lisa. Zapamiętały w swym gniewie ojciec śpieszy do niego, rzuca się na zbójcę nierozważnie, który, porywa go jedną wolną nogą i potężnym dziobem, i takie mu rany po kilkakroć razy zadaje, że nieszczęśliwy—ratunku krzyzcć zaczął. Na krzyk ten zbiegli się ludzie nie opodal będący i zabili orła kijami.

Niekiedy i na dorodnych ludzi rzuca się orzeł, a zwłaszcza wtenczas—gdy ci podchodzą do jego gniazda i młode jego orlęta chcą wydrzcć.

*Augusta.* A gdzie on te gniazda buduje?

*Ojciec.* W lasach północnych Niemiec składa on je na odwiecznych dębach lub sosnach; w południowych zaś Niemczech, w Szwajcaryi i Ameryce północnej, zwija je zazwyczaj w rozpadlinie niedostępnej skały albo na przyczółku skał bardzo wysoko wzniesionym. Gniazdo to ogromne i płaskie, splecione niezgrabnie z wielkich konarów i małych gałązek, wyłożone jest wewnątrz wrzosem, wełną,

włosami i innemi miękkimi rzeczami. Orzeł znosi po 2, 3 lub 4 jaja w swém gnieździe, a jaja te są wielkie, białe, ciemno-nakrapiane. Wykluwające się pisklęta z początku są biało-wełnistym mchem porośłe. Rodzice karmią je mięsem, kładąc tę żywność dla nich na brzegu gniazda.

Troskliwie pielęgnują one młody pług swój i bronią go mężnie w razie niebezpieczeństwa. Doświadczyli tego dwaj dzielni strzelcy Alpejscy, uczestniczący zazwyczaj w wyprawach na wilki, w Krawcowskich Alpach w Iliryi, a mianowicie: Józef Jernecz i Stefan Frates. Powzięli oni myśl śmiałą, dostać się do gniazda orlego na wysokości skale i orlęta— już podlotki— wybrać z niego. Zaopatrzeni w długą linę, sztuciec myśliwski i worek, udali się w drogę. Wdrapawszy się na Alpy, przywiązali linę do pnia sosny, i Jernecz spuścił się po nią na ów cypel skały, na którym było gniazdo orle. Zaledwo zuchwały młodzian włożył do wora największe orlątko, gdy stary orzeł przyleciał pędem błyskawicy, i rzucił się na porywcę swych dzieci z niewypowiedzianą wściekłością i rozpaczą. Już byłoby po Jerneczu, gdyby przytomny Stefan nie pośpieszył mu być na ratunek: stał on powyżej z nabitym sztucem,

nie tracąc więc ani chwili, zmierzył się do orła i szczęśliwym strzałem zwałił go na ziemię.

Nieulekniony Jernecz włożył tedy i drugie orle do woru— wołając na towarzysza, aby go do góry pociągnął; ale tamten, zajęty był przez ostrożność powtórnem nabijaniem broni. Ciągnęło się to więc czas jakiś, nim strzelec powydobywał ze wszystkich kieszeni amunicję (przedmioty służące do nabijania broni); lecz nim skończył nabijanie sztucea, usłyszał złowrogi krzyk drugiego orła. Wielka była trwoga obu młodzieńców, a zwłaszcza tego, który niósł worek; zagnęła ona do pośpiechu Stefana, a ledwo broń była gotowa, spadł orzeł na Jernecza— usiłując zepchnąć go w przepaść. Stefan podpełzł— o ile można było— na szczyt Alpejski, strzelił, ale wśród trwogi— chybił niestety! Zajadłość orła widocznie się wzmogła. Naprózno sięgał Jernacz— jedną swobodną ręką po nóż do kieszeni, nie mógł go bowiem wynaleźć. W ostatecznej rozpaczce wyrwał z kieszeni czerwoną chustkę i machał nią po nad-głową swoją. Ruch ten zatrwożył orła i trzymał go do póty w pewnej odległości od wroga, dopóki Frates niezdolał znowu nabić swojego sztucea. Powtórnym strzałem udało mu się ocalić szczęśliwie przyja-

ciela, któremu już najstraszniejsze groziło niebezpieczeństwo.

Ale mniej był szczęśliwym drugi jakiś człowiek, któremu równie się zachciało, wydrzeć gniazdo orle, znajdujące się na małej wysepce jeziora Kitarnej. Człowiek ów przepłynął i wybrał orlęta z gniazda, ale gdy już przeprawił się przez jezioro napowrót do domu, nadleciały stare orły, a postrzegłszy i łup i łupieżcę, rzuciły się na niego i tak go poraniły, że nie doszedłszy do domu, umarł nieszczęsny.

Widzicie więc z tego, jak niebezpiecznymi ptakami są orły; wiedzą o tém dobrze i te zwierzęta, które bać się ich muszą. Nagłe pojawienie się jego rodzi przestach i trwogę w pośród ptastwa i zwierząt ssących, a zwłaszcza—gdy zagrzmi donośnym swym głosem. Gęsi swojskie, na które on szczególnie czatuje, podnoszą wrzask przeraźliwy i albo biegną, albo lecą do pierwszej—lepszój wody, aby się ocalić ponurzeniem się w jej nurtach. Zające umykają do najbliższych krzaków—aby się ukryć; największe nawet zwierze drzy na widok jego i szuka ocalenia w ucieczce. Wyrządza on zazwyczaj wiele złego po zwierzętach i kniejach; szkoda wszelako, jaką czyni w pośród zwierząt domowych i zwié-

rzyny, daleko ma być większa—niż korzyść, którą przynosi.

Niektóre plemiona, a zwłaszcza Azyatyckie, ugłaskują go i przyuczają do polowania na zające; lotek zaś jego i piór stérowych używają do oskrzydlenia strzał.

W sposób wyłącznie sobie tylko właściwy przyswajają sobie orłów Cyganie i Illiryjczycy przemieszkujący tam w charakterze muzykantów lub rzemieślników. Dla nich gniazda orle są obfitým źródłem zarobku; zostawują bowiem młodym orłom tyle tylko z przyniesionój im przez stare zdobywcy, ile piskłétom potrzeba nieodzownie dla utrzymania nędznego ich życia, a sami zabiérają dla siebie najlepsze przysmaczki, jakoto: młode łanie, dzikie kozy, sarny, owce, kozy, głuszce, pardwy, gęsi i t. p. Przemysł ten dopóty im tylko posługuje, dopóki młode latać nie poczną; co się dosyć opóźnia z powodu bardzo ujmowanój im żywności. Takim tedy sposobem—gniazda orle, tak dla cyganów jakotéz i dla innych, równie przemysłnych ludzi, jest prawdziwą spiżarnią zwiérzyny. Ale ci spekulanci bardzo się z tém tają, gdy upatrzą gniazdo orle dostępne; a równie wystrzegają się zabijać małe,

bo wiedzą niezawodnie, iż na rok następny będą już mieli w młodych, pewnych liwerantów czyli dostarczycieli żywności dla siebie.

Są jeszcze i takie orły, które, latem zwłaszcza, żywią się rybami, a tém samém i jajom rybim wyządzają ogromną szkodę. Mówię to nie tylko o rzeczonym orle mającym długości do 2 stóp i 5 cali, odznaczającym się zbyt krzywemi i ostremi szponami i bardzo kosmatemi wyrostkami pod wielkim palcem, ale téż i o morskich orłach— dochodzących wielkością Łomignata. Wielkie tylko orły różnią się od łomignata, raz długością skrzydeł, drugi raz nogami do połowy nagiemi, i nakoniec— kosmatemi wyrostkami na nogach; są one wprawdzie mniej żywe jak łomignaty, lecz im nie zbywa ani na odwadze, ani na sile, ani téż na zręczności w łowieniu zdobyczy. Nagle wstrzymuje się orzeł morski w locie, jakby go zajął szczególny jakiś przedmiot. Bystro spogląda niby na niego i z taką wytrwałością, że robiąc tylko skrzydłami, zdaje się wisić w powietrzu; lecz wreszcie opuszcza stanowisko swoje i znowu po dawnemu krąży do koła. Ale oto znowu coś zwróciło uwagę jego, spuszcza się więc szybko jak błyskawica, lecz nim sięgnie powierzchni,

puszcza się znowu w innym kierunku, wstydząc się niby, że przed nim umknęła już druga ofiara. Buja więc teraz na małą odległość od płaszczyzny, a spuszczać się zygżakiem, nie zamoczywszy nawet nóg w wodzie, porywa rybę i unosi ją z sobą w powietrze; trzymając w szponach trzepiocącą się zdobycz, leci teraz już najprostszą drogą na ląd, i tam ją pożera.

Białogłowy orzeł w północnej Ameryce, często przezorniej i dogodniej jeszcze urządza się, korzysta on bowiem bez trudów ze zdobyczy orła rzecznego. Siadając na poziomo-wystęrkającej gałęzi, a zachowując się w największej spokojności, staje się niewidzialnym, udaje, że śpi i nie zwraca najmniejszej uwagi na liczne ptastwo latające dokoła niego. Lecz oto nagle strzelił okiem. Widoczne drgnienie pokazuje, że coś silnie podziałało na niego. Długo upatrujemy powodu téj gwałtownej zmiany— nim dostrzeżemy, zaledwo widzialny czarny punkcik na błękitnym niebie, który oddawna już orzeł rozpoznał, wyczekując nań z wielką niecierpliwością. Drobnutki ów punkcik coraz się zwiększa, przelatuje horyzont, zbliża się, i w nim nakoniec poznajemy— orła rzecznego. Unosi się on i ko-



listym lotem coraz-to więcej ku wodzie się zbliża, a orzeł morski z oka go nie spuszcza. Ciało jego dotąd nieruchome poczyną się zlekka kołysać na gałęzi, na której zasiadł. Szyja jego wyciąga się, skrzydła opadają; jeszcze zdaje się być ociężałym; ale to nie jest już owa nieruchomość, która od tak dawna męczyła człowieka, przypatrującego się pilnie całej tej scenie. Orzeł rzeczny zatrzymuje się na chwilę, potem zaraz chyżo— jak myśl ludzka, spada i pogrąża się w falach, w których upatrzył zdobycz dla siebie. A tymczasem orzeł morski już się ruszać poczyną; skrzydła na w pół rozpuścił i niespokojnym wzrokiem ściga rzeczno w głębi fal wodnych. Zjawia się wreszcie zręczny nurek, (orzeł rzeczny), z ogromną rybą trzepioczącą się w dziobie jego. Z wrzaskiem zrywa się wtedy orzeł morski, spuszcza się w ową stronę i teraz-to zaczyna się właśnie najciekawsza gonitwa: napróżno usiłuje nieszczęsny orzeł rzeczny uniknąć od strasznego wroga swego, utrudniony w locie wielkim ciężarem, który w dziobie niesie, darmo stara się uwieść przeciwnika niespodziewanemi zwrotami i unoszeniem się w przeciwną stronę. To prosto— jak strzała wznosi się do góry, to w dół, jak kamień— spa-

da na ziemię; ale wszystko to na nic mu się nie przyda, bo już go orzeł morski doścignął. Wydając przeraźliwy krzyk rozpaczy, rzeczny upuszcza swą zdobycz i sam się unosi; a tamten rzuca się na rybę i niedopuszczając jej wpaść do głębi, chwytając ją— w złodziejski sposób zdobyty, unosi i pożera na samotnej skale.

Wszak-to i niepostrzeżliw się, jak nam przed chwilą czas ubiegł pośród rozmowy. Ale otoż już jesteście i w gospodzie, a wy zapewne po długiej przechadzce, porządnie już wygłodniałyście; chodźmy więc do stołu! Dzieci zasłuchawszy się opowiadania o drapieżnych ptakach, zapomniały o wszystkim, a nawet i o jedzeniu. Lecz teraz, gdy ojciec kończył opowiadanie, uczuły rzeczywiście czczość w żołądku; a że i matka wróciła z wizyty, którą, podczas ich niebytności komuś oddała, siadły więc zaraz do stołu. Pomimo, że dzieci były dość wygłodniałe, za wszystkiemi jednak osobliwościami, które widziały i o których matce chciały opowiadać, często zapomniały prawie o jedzeniu, zwłaszcza, gdy ojciec przytoczył kilka anegdot o zwierzętach świeżo oglądanych. Obiad ten był zaprawiony miłą i wesołą nauką. Gdy podano wety, nie-

spodziéwanie rozległa się muzyka za drzwiami, a chociaż nie była to muzyka bardzo piękna, zwróciła jednak na siebie uwagę wszystkich. Karol zerwał się z miejsca swego, wybiegł za drzwi i wkrótce znowu powrócił, mówiąc: „Jest to chłopczyk grający na jakimś osobliwszym instrumencie, a który ma z sobą dziwne jakieś zwierzątko, tańczące na rozkaz jego. Chodźcie-no tylko, a zobaczycie— jak to śmieszne!”

Ale ojciec skinął, nakazując dzieciom, aby się z miejsc nie ruszały; sam zaś, powstawszy, wyszedł i zawołał chłopczyka. Był to mały Sabaudczyk grający na lirze, a miał on z sobą bobaka, którego tańczyć wyuczył. Było to rzeczywiście śmieszne widowisko, gdy zwierzątko to, mające długości około półtory stopy, długim, kędzierzawym, czarnym z wierzchu, a rudym ze spodu włosem gęsto porośniętym, podniósłszy się na tylne łapki, wahać się— chodziło, wzięło małą fuzyjkę na prawe ramię i na szylwach stanęło, strojąc przytém poważną minkę; co jeszcze śmieszniejszém się wydawało. Po skończoném przedstawieniu zapytał pan Majnau chłopczyka o historję życia jego. Chłopczyk opowiedział ją zepsutym językiem niemieckim, ale

z wielką dobrodusnością w te słowa: „Ojciec mój wysłał mię w świat przed dwoma laty z tym małym bobakiem, abym sam dla siebie na chleb zarabiał, upewniając, że mię Bóg dobry nie opuści. I Bóg też szczerze mi dopomagał! rzekł chłopczyk, kończąc krótką powieść swoją.

Pani Majnau dała mu natychmiast posilnej strawy, sam zaś pan Majnau hojnie go obdarzył pieniędzmi. I dziatki też z swojej strony prosiły ojca, aby je tą razą zastąpił i dał za nie kilka groszy z przeznaczonych im pieniędzy do ich karbonki. Chętnie się na to zgodził ojciec, bo od najpierwszej młodości przyuczał swe dzieci do dobrych czynów. O, miłe dzieci moje! mówił on: jakżeście wy powinny uważać się za szczęśliwe, mając rodziców, którzy są w stanie wychowywać was, i wykształcać wasz umysł i serce. Patrzcie-no tylko! chłopczyk ten nie jest tak szczęśliwym, i szczęścia takiego nie znają tysiące dzieci Sabaudzkich równie jak i innych narodów. Muszą one, zbyt wczesnie, opuszczać kraj i drogich rodziców swoich. Prawdziwie, nie prawie nie znam smutniejszego, nad owe nieszczęsne dziatki. Pośpolicie bez żadnego wychowania, bez najmniejszej nauki, wypychają je na

świat— równie nieszczęśliwi ich rodzice, niemając biędni i dla siebie potrzebnego kawałka chléba. Wspomnijcie, lube dziatki moje, na te nieszczęsne, młodziutki stworzenia. Wyobraźcie sobie te dzieci niedoświadczające pociechy, z natury pałające najtkliwszą miłością dla kraju swojego; błakające się z miejsca na miejsce, często przepędzające nocy bez dachu, częściej jeszcze w najdotkliwszy sposób odpychane od drzwi bogaczów, nie rzadko marznące na surowém zimnie, wycienzone głodem i blizkie śmierci— daleko od swoich, a poczucie całą moc ich niedoli. Gorzkie łzy cisną mi się do oczu na wspomnienie, co się téż stało z dwóma tak biędnymi chłopczykami z Sabaudyi w Paryżu— téj ogromnej stolicy Francyi, gdzie malutki kącik w jednym z tylu pysznych pałaców i szczątki od stołu, wyrzuczone tuczonym psóm pańskim, mogłyby uszczęśliwić biędnych tych chłopczyków. O! wstyd i hańba ludziom, którzy ze zbytków swoich nic nieszczęsnym udzielić nie chcą.

Głęboko w sercu dziecinne utknęły te słowa ojca, lecz razem szczerze się im chciało usłyszeć ową przygodę chłopczyków Sabaudzkich; prosili więc ojca, aby ją im opowiedział.

Dobrze, dzieci, rzekł pan Majnau: opowiem wam to zdarzenie, i chociaż się nie lękam tego, abyście kiedykolwiek nieszczęśliwymi pogardzać i od drzwi swoich odpychać ich mieli, to przynajmniej powtórzcie ją takiemu, któryby się na to poważył. Owoż rzecz się tak miała: ósmioletni Sabaudezyk chodził raz jednego z sześciolatnim braciszkiem swoim po dalekiej, wielkiej stolicy Francyi od domu do domu, prosił najmniej u dwódziestu osób o jałmużnę, ale wszyscy nielitościwie odprawili go z niczém. Już dobrze zciemniało; chłód przenikliwy przejmując coraz silniej chłopczyków, zagrażał ich życiu i odbierał im coraz otuchę. Wybiła godzina 10, a biędne dzieci raz jeszcze powlokły się do jakiegoś domu, upadły na kolana przed gospodynią jego i całując kraj jęj szaty, z jękiem boleści błagały ją o przytułek. Ale prędej-by się dał kamień zmiękczyć, niż owa nieużyta niewiasta. Wydarłszy się od nich, z największą obelgą wypędziła ona na w pół zmarzłych chłopczyków; powlekli się więc, płacząc, pod mur opasujący jakiś ogród i tu się zatrzymali, bo biędny sześcioletni chłopczyk nie mógł już ani kroku podejść, nogi mu paliło, a ciało całe stygło i krzępło widocznie. Dobry brat starszy zebrał gar-

steczkę rozrzuconej słomy na miękką pościółkę dla maleńkiego, złożył go na niej starannie i spojrzawszy raz jeszcze łzawem okiem ku niebu, rzuca się na biędną dziecinę, chcąc ją swém ciałem osłonić i tym sposobem ogrzewać, nacięra jej członki, spodziewając się przywrócić braciszкови siłę żywotną; dusi go niemal tkliwými pocałunkami dopóty, póki nakoniec sam sił pozbawiony, na ostygniętym braciszku nie stęzał.

Nazajutrz rano szli wyrobnicy do pracy. Postrzegają oni na wpół śniegiem przykrytych, (bo w nocy bardzo śnieżyło), obu tych chłopczyków silnie z sobą objęciem spojonych, leżących pod ogrodowym murem. Litość w tych ludziach przebudziła się; chcą ich rozruchać, rozerwać od siebie; ale na próżno! Po długich nakoniec usiłowaniach, chłopczyk mniejszy otwiera oczy, wlepia je błędnie w otaczających go ludzi, ale postrzegłszy brata swego, rzuca się nań z płaczem i woła— chcąc go, jakby ze snu przebudzić. Ale ten się już nie obudzi! O, nigdy się już on nie ocknie, bo członki jego skrzepły wtenczas właśnie, kiedy maleńkiego brata osłaniał; życie jego zgasło, bo się wczoraj zbyt mocno wyścienzył, zasilnie się wzruszył i okropnie namęczył.

Tym widokiem najszczerzej miłości braterskiej pobudzeni do litości, ludzie ci darli się prawie z sobą o biędnego, osieroconego chłopczyka, i nie jeden z nich, co dzieci te, może wczoraj jeszcze, tak obojętnie odpychał od siebie, chciał pozostałego dziś już przyjąć pod strzechę i opiekę swoją.

Z natężoną uwagą słuchały dziatki P. Majnau opowiadania tego i łzy czułości toczyły się po ich twarzyczkach; a gdy ojciec skończył opowiadanie, ślubowały jednogłośnie, że nigdy o biędnych zapominać nie będą.

Ale, kochane dzieci moje! mówił dalej ojciec: mówiąc o biędnych chłopczykach owych z Sabaudyi, zapomnieliśmy o tém zwierzątku, które was tak zabawiło swym tańcem. Czy chcecie usłyszeć dokładniejszą o niém wiadomość?— „O! chcemy, chcemy i prosimy cię o nią, kochany ojcze; opowiedz nam o tym milutkim tancerzu;” zawołały wszystkie razem. A ojciec mówił: Bobak alpejski, jakoście to już widziały z dwóch wielkich, ostrych, przednich zębów, sterczących w szczęce jego, jest to gryzoń; ale tak, jak i u wszystkich gryzoniów, tak i u niego niemasz zębów kątnych; trzonowych zaś ma pięć

w górze, a cztery w dole. Ciało jego— dosyć niezgrabne, ogón zaś mający długości około siedmiu cali, zaraz od samej osady jest kiciasty. Na palcu zewnętrznym niema on paznogiów, a równie niema i zaliczków, właściwych niektórym zwierzętom.



Stworzenko to mieszka na wysokich górach Alpejskich w Austryi, Tyrolu, Zaleburgu, Bawaryi i Szwajcaryi, a mianowicie: w południowej stronie przestrzeni, najmniej na 4 tysiące stóp nad morzem wzniesionej. Nie jest to zwierze nocne, bo wednie tylko na żér wychodzi. O świcie wyłazą stare bo-

baki z swych siedzib na paszę, a gdy jest piękna pogoda, i gdy słońce dogrzewa, to i młode wychodzą ze swych kryjówek. Podczas mojej podróży po Szwajcaryi, przypatrywałem się sam rodzinie bobaków, w ukryciu niepostrzeżony od niej, a widok ten wielką mi sprawił rozrywkę. Gdy wyszły z nory, usiadły najprzód na tylnych łapkach zwracając główkę na wszystkie strony; a gdy przez czas jakiś utrzymując się w takiej pozycyi nie postrzegły nic niebezpiecznego, opadły na przednie łapki i pały się spokojnie. Nie tak pomału i nie tak oględnie przystąpiły młode do paszy, bo: to z chciwością i pośpiechem zgryzały trawę, to skakały wesoło, to upędały się za sobą, to kasały się, to prostowały się z miną poważnego mędrca, i z widoczną przyjemnością grzały się na słońcu, które już wyżej było się wzniosło. Ale zaledwie z nich którekolwiek usłyszało coś podejrzanego, wnet krzyknęło głośno i przeraźliwie, a świst ten powtórzyło każde z nich pojedynczo, i wszystkie razem pomknęły do nór swoich. Chcąc zejść te zwierzątka, trzeba być bardzo ostróżnym.

Z wielką szybkością i łatwością wykopują one dla siebie mieszkania, a mają letnie i zimowe sie-

dziwy. Latem mieszka zazwyczaj jedna tylko rodzina w swym domku, w zimę zaś zbiera się często po kilka rodzin razem dla urządzenia sobie wspólnego mieszkania. W tych miejscach, gdzie się zasiedla, znaleźć można wiele nor, zaczynających się najczęściej pod kamieniem, wiodących do przechodów—zawsze ku górze skierowanych, a które, częścią są tylko dla ucieczki zrobione, częścią zaś prowadzą do prawdziwych ich mieszkań zwanych kotlinami. Pomieszkania letnie urządza dla siebie bobaki na 12 i więcej stóp ku wnętrzu góry; w pomieszkaniach tych jedna już tylko kotlina i w tej nie ma siana; zimowe zaś nory daleko głębsze, a chodniki w nich z boku urządzone, prowadzą do obszerniej, odległej komory albo kotliny, napętnionej wielkim zapasem suchego siana. Kotlinę zimową zazwyczaj umieszczają na 4 stopy pod ziemią, chociaż ta ma 6 stóp w przecięciu, tak jednak jest ściśle sianem pokryta, że najdoskonalej osłania te zwierzęta, śpiące w niej przez całą zimę. Otwór wchodowy zatykają one w pierwszych dniach października—ziemią i kamieniami na 2—4 stóp wysokości. W takim pomieszkaniu śpi rodzina przez całą, długą zimę od października aż do końca kwietnia, w którym

już ciepłe słońce wiosny budzi spiochów do nowego życia. W jesieni, gdy udają się do snu, są one zazwyczaj tłuste, ale za to na wiosnę—wychodzą z kryjówek swoich bardzo wycienzone, bo bez przerwy przez całą zimę leżały—snem zdjęte, a więc i żadnego posiłku przez cały ten czas nie brały.

Prześladowcami bobaków są: łomignat, orłosep i lisy; wszakże i człowiek czyha na nie, bo delikatne i kruche mięso młodych bobaków daje się jeść z przyjemnością—czy to świeże, czy też solone. Tłustość ich służy za lekarstwo, którego używają skutecznie tak do środka, jako też i na zewnątrz; zastępuje też ona bardzo dobrze olej do lamp używany, a z futerka tych zwierzątek robią czapki, rękawice i t. p. Wykopują bobaków zazwyczaj w zimie, gdy są snem zdjęte, lub też łowią ich w sieci albo pastki ustawiane przed letniem ich pomieszkaniem. Rozdrażnione bobaki kęsają z zjadłością, a rzucają się nawet na psy wielkie. Mieszkając na wzgórzach wyniosłych, w stanie dzikości swojej nie robią szkód znacznych, ale ugotowane, gdy je w domach utrzymują, tną zębami sprzęty domowe, łasują potrawy i podkopują podłogę.

Ale otóż już i woznica nasz zaprzął konie; a że wszystko gotowe do podróży, zbierajmy się przeto i jedźmy do domu.

Radeby jeszcze były dziatki zabawić trochę w stolicy; chętnie zwiedziłyby jeszcze i zwierzyniec po obiedzie, i prosiły też ojca o to; ten jednak, mając potrzebę wczesnie wrócić do domu i nie uważając za dobre: wiele na raz pokazywać dzieciom, odmówił im. Przywykłe do uległości dziatki, nieśmiały już sprzeciwiać się woli jego, a tylko wymogły na nim uroczystą obietnicę, że je niebawem znowu tutaj przywiezie, dla przypatrzenia się jeszcze tym wielkim, drapieżnym zwierzętom, których—tą razą zobaczyć nie mogły.

Zaprzężony powóz podszedł, a rodzina nasza, posiliwszy się i pożegnawszy grzecznie gospodarzy, wsiadła do niego, a powóz uniósł ją w sobie.

Dzień ten oznaczyły dziatki w kalendarzu swoim czerwonymi głoskami, jako dzień uroczystości, jako dzień najpiękniejszy w ich życiu. Jeżeli pan Majnau dotrzyma słowa i zwiędzi raz jeszcze z dziatkami zwierzyniec, w celu pokazania im drapież-

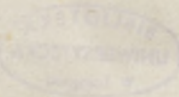
nych zwierząt, to i was, moi mali, kochani czytelnicy, zaproszę z sobą na tę małą przechadzkę. Wyczytując z twarzą waszych powolność na moje wezwanie, tuszę sobie, że się znów zobaczymy. A nim to nastąpi, bywajcie mi zdrowi!

KONIEC ODDZIAŁU PIÉRSZEGO.



### SKAZÓWKA DO UMIESZCZENIA RYCIN.

1. **PAPUGI**, na czele książki przed tytułem (należy do str. 101).
2. **BIAŁY NIEDŹWIEDŹ** do str. . . . . 24
3. **SŁOŃ Z KORNAKIEM** do str. . . . . 65
4. **ŻYRAFFA** do str. . . . . 84
5. **STRUŚ** do str. . . . . 107
6. **ORZEŁ** do str. . . . . 145





Biblioteka Główna UMK



300020446114

22

